

Recz na rzeczy

Recz. W służbie!



S ł o w o w s t ę p n e

W pierwszych dniach maja 2021 r. w Szkole Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego w Reczu odbyły się uroczystości z okazji **76. ROCZNICY POLSKOŚCI na ZIEMIACH ZACHODNICH**. Jako organizatorzy postanowiliśmy uczcić postaci, miejsca oraz instytucje, których głównym zadaniem było służenie innym. Zorganizowane przez nas wydarzenie odbyło się pod hasłem „**Recz. W Służbie!**”.

Bardzo istotną rolę w tworzeniu się polskości na ziemi reczańskiej oraz późniejszego życia i funkcjonowania mieszkańców Recza odgrywały instytucje i osoby, których celem była służba. Praca tych ludzi i ich zaangażowanie mają dzisiaj niebagatelne, historyczne znaczenie. Fragmentami wywiadów i wspomnień, którymi podzielili się z nami: p. Grażyna Konieczna, p. Dorota Mazurek, p. Henryka Kawecka, p. Helena Więsko, p. Władysława Krajewska, p. Janina Suzos, p. Stanisław Bauć, p. Eugeniusz Nykiel, przybliżono charakter takich instytucji jak: **ośrodek zdrowia, apteka, Urząd Stanu Cywilnego, harcerstwo, poczta, milicja, straż pożarna...**

Tradycją każdych kolejnych rocznic polskości na ziemiach zachodnich jest **program artystyczny**, w którym przedstawiono fragmenty wywiadów udzielonych przez mieszkańców miasta. Słuchaliśmy również fragmentów kronik i piosenek. W holu Szkoły Podstawowej w Reczu przygotowaliśmy także **wystawę zdjęć i pamiątek** zatytułowaną „**Recz. W Służbie!**”. Program artystyczny i wystawa została nagrana i jest dostępna dla zainteresowanych na kanale you tube (<https://www.youtube.com/watch?v=OGxW4r2GnT0>).

Kolejną częścią uroczystości było **symposium naukowe**. Prelegentem, który przygotował wykład pt. „**Godzina zero. Przełom roku 1945 i nowy początek**” był dr Paweł Migdalski (zdj. str. 17) z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Szczecińskiego. Obszerne fragmenty tego niezwykle interesującego wykładu, który został wygłoszony w sali muzealnej Szkoły Podstawowej w Reczu, publikujemy na naszych łamach; można go również obejrzeć i wysłuchać na kanale you tube (https://www.youtube.com/watch?v=dygGv_XxRgw).

Niniejsza publikacja to efekt pracy **uczniów i nauczycieli** Szkoły Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego: Kornelii Bożackiej, Zofii Gryczewskiej, Aleksandry Gryczewskiej, Moniki Olender-Zań, Jolanty Kwaśnik, Macieja Gryczewskiego, którzy przeprowadzili wywiady z mieszkańcami i w ten sposób dokumentowali fragment historii naszej gminy. Zdjęcia przedstawiające historię Recza w czasach powojennych pochodzą ze zbiorów prywatnych oraz kronik znajdujących się sali muzealnej Szkoły Podstawowej w Reczu.

76. rocznica polskości na ziemiach zachodnich — Recz. W Służbie!

Organizator: Szkoła Podstawowa im. Stefana Czarnieckiego w Reczu

Współorganizatorzy: Gmina Recz, Towarzystwo Miłośników Recza

Udostępnienie eksponatów, pamiątek, zdjęć na wystawę: Eugeniusz Nykiel, Barbara i Paweł Stasiak, Jerzy Krajewski, Stanisław Bauć, Leokadia Cichorzewska, Grażyna Smus, Natalia Dembek, Jadwiga Nadybał, Małgorzata Miecińska, Barbara Pokorska, Jolanta Kwaśnik, Mirosława i Jerzy Dzieranowie, Justyna Sawka, Aleksandra Gryczewska, Grzegorz Jurkiewicz, Agata Górka, Grzegorz Zawarski, Monika Olender-Zań.

Przygotowanie wystawy: Justyna Sawka, Dorota Rakowska, Katarzyna Brzozowska, Joanna Bednarczyk, Teresa Brzozowska, Agnieszka Nowak, Marzena Sztaba, Stanisława Kłapcia, Elżbieta Pantoł, Zbigniew Pokorski, Aleksandra i Maciej Gryczewscy, Monika Olender-Zań (projekt i wykonanie).

Oprawa medialna: Piotr Bohdziewicz, Justyna Gwiazdowska-Zajęc, Joanna Zań, Gabriela Antczak.

Oprawa techniczna: Piotr Bohdziewicz, Piotr Pawłowski, Kacper Bohdziewicz.

Oprawa muzyczna i aranże: Grzegorz Jurkiewicz.

Śpiew: Hanna Gryczewska, Zofia Gryczewska, Agata Misiek, Adrian Kociuba.

Fragmety wywiadów czytali: Aleksandra Gryczewska, Wioleta Sankowska, Barbara Tomicz, Piotr Pawłowski, Maciej Gryczewski.

Wsparcie finansowe: Tadeusz Robaczek, Ryszard Dobrzaniecki.

Koordynatorzy: Monika Olender-Zań — wystawa, Aleksandra Gryczewska i Grzegorz Jurkiewicz — część artystyczna, Piotr Pawłowski - część naukowa, Maciej Gryczewski i Aleksandra Gryczewska - publikacja.

Redakcja: Aleksandra Gryczewska, Zofia Gryczewska, Kornelia Bożacka, Monika Olender-Zań, Jolanta Kwaśnik, Maciej Gryczewski



Godzina zero. Przełom roku 1945 i nowy początek

O ile pierwsza wojna światowa stanowiła w zachodniej części Europy z racji hekatomb ofiary żołnierskiej i legendy walk w okopach jeden z głównych punktów, w którym skupia się pamięć historyczna, to kolejna wojna nie odgrywa tam tak wielkiego znaczenia kommemoratywnego. Inaczej postrzegamy obie wojny w środkowo-wschodniej części kontynentu. Pierwsza dla wielu kształtujących się w XIX w. nacji była wymodlonym (np. Adam Mickiewicz) okresem walk o niepodległość, a jej koniec szansą na utworzenie niezależnego państwa. Owszem, niezadowolenie z przebiegu osiągniętych granic oraz poczucie niezastuzonej klęski w Niemczech sprawiły, że po pierwsze walki trwały tu znacznie dłużej niż na Zachodzie, a po drugie wraz z kolejnymi kryzysami gospodarczymi i politycznymi kiełkowały uczucia sprzyjające populizmowi oraz nacjonalizmowi i komunizmowi. Z czasem zasięg demokracji w tym regionie kurczył się coraz bardziej, zastępowały go ustroje autorytarne oflankowane przez kwitnące totalitaryzmy we Włoszech, Niemczech i ZSRR. To wszystko doprowadziło nieuchronnie do wojny, która zmieniła na zawsze oblicze tej części Europy, która do tej pory kształtowała się przez wieki w sposób – można by rzec – powolnego procesu. Upadek III Rzeszy w maju 1945 r. nie przyniósł tu powrotu do znanej wcześniej codzienności. Dlatego też rok ten – 1945 – możemy śmiało nazwać godziną zero, przełomem, który skończył to co było, ale zarazem stanowił początek nowego. Zakończenie II wojny światowej było chirurgicznym cięciem, które za sprawą narosłych przez lata wojny, okupacji, różnych polityk eksterminacji



poszczególnych narodów i etnosów oraz wykorzystywania pracy niewolniczej sprawiło, że wielcy tego świata zdecydowali się nie tylko na przemodelowanie granic politycznych, ale postanowili dopasować do nich też strukturę etniczną przez masowe i przymusowe transfery ludności, na skalę której wcześniej i później świat nie widział. Wykreowano nową rzeczywistość, na którą nałożył się też nowy system polityczny wprowadzany pod patronatem ZSRR. W tym krótkim eseju chciałbym krótko przestawić na szerszym tle przemian bliskowojennych jak przebiegały procesy które doprowadziły do powstania naszej obecności na Pomorzu i w samym Reczu.

Zacznę od chyba oczywistego wniosku, że przymusowe przesiedlenia towarzyszyły ludzkości od zawsze i na tym tle wiek XX jest wyjątkowy tylko w kwestii ich masowości i przedsięwziętych środków technicznych. Znane są nam powszechnie zwłaszcza z dziejów żydowskich: exodus do Egiptu i wyjście pod przewodnictwem Mojżesza, niewola babilońska, czy wreszcie Galut zarządzony przez cesarza Hadriana, kiedy ludność żydowska została usunięta z Palestyny. Modelowym przykładem dla tych po drugowojennych było wysiedlenie Greków z Anatolii po pierwszej wojnie światowej. Z kart historii znamy też przesiedlenia Tatarów krymskich w głąb Rosji, transfer ludności między Pakistanem i Indiami. Mniej znane przykłady to przesiedlenie mieszkańców słowiańskiego połabskiego i nadbałtyckiego Rerika przez władcę duńskiego Gotfreda w 808 r. do Hadeby, czy przeniesienie mieszkańców wielkopolskiego Giecza do Czech przez Brzetysława w 1038 r. Również mało znane, ale uważane za modelowe przesiedlenie obyło się w 1925 r. między Bułgarią i Turcją. W trakcie drugiej wojny światowej także dochodziło do licznych wysiedleń zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej, jak choćby Polaków przez Niemców realizujących politykę Lebensraumu na Pomorzu Gdańskim, w Kraju Warty, czy Zamojszczyźnie oraz przez Sowietów, którzy na Syberię i do Kazachstanu wywozili całe transporty Polaków z kresów.

W ramach ofensywy letnio-jesiennej Armia Czerwona w lipcu 1944 r. przekroczyła rzekę Bug, a 21 października 1944 r. wkroczyła na tereny Rzeszy – a konkretnie Prus Wschodnich – do wsi Nemmersdorf, w której dokonano pokazowego bestialskiego gwałtu na ludności cywilnej. W kolejne dni wieś została odbita przez Niemców, a obrazy z niej wykorzystwała propaganda Josepha Goebbelsa, która miała na celu wzmocnić strach, a co za tym idzie wzmóc chęć do obrony ojczyzny przez jej mieszkańców. Obok drastycznej kroniki filmowej nakręconej w Nemmersdorfie kolportowano znaleziony przy jednym z żołnierzy radzieckich tekst autorstwa znanego poety Ilji Erenburga: „jeśli w ciągu dnia nie zabiłeś żadnego Niemca, jest to dzień straco-

ny. ... Nie licz dni, nie licz kilometrów, licz tylko jedno – Niemców, których zabiłeś”. Zamiast jednak zachęcić do walki doprowadziło to do masowego exodusu Niemców z Prus w kierunku zachodnim. Liczy się, że uciekło stamtąd około 600 tys. osób, w sporej części na lub przez Pomorze. Ponadto na Pomorze ewakuowano przed atakami lotniczymi tysiące Niemców z Zachodu. Mimo to nazistowskie władze poszczególnych prowincji, między innymi Pomorza Zachodniego, nie zrobiły praktycznie nic by przygotować się do wkroczenia Armii Czerwonej. Nawet ze względów propagandowych wstrzymywały ewakuację ludności, czemu sprzeciwiał się zwłaszcza gauleiter Pomorza Franz Schwede-Coburg. W styczniu 1945 r. wojska radzieckie wkroczyły na Pomorze i idąc od południa przecięły kraj na pół docierając nad Bałtyk w rejonie Kołobrzegu na początku marca. W związku z czym odcięto drogę ucieczki ludności na zachód. Południe obecnego Pomorza zdobyto szybciej i już na początku lutego osiągnięto Odrę, nad której brzegiem 27 lutego oddział polskich saperów wbił w Czelinie pierwszy polski słup graniczny.

W momencie zakończenia wojny na okupowanym Pomorzu Zachodnim przebywało około pół miliona Niemców. Wraz z zakończeniem działań wojennych rozpoczął się ich częściowy naturalny powrót. Ruch ten został powstrzymany dopiero w lecie 1945 r. po objęciu i uszczelnieniu granicy przez władze polskie. W końcu lata liczba Niemców na Pomorzu Zachodnim wynosiła około 840 tys. Byli to przeważnie ludzie starsi, kobiety i dzieci. Duża liczba Niemców dominowała zwłaszcza we wschodnich powiatach Pomorza Zachodniego, Inaczej przedstawiał się obraz na zachodzie regionu, który był wyludniony w 80-90%. Podobnie było w większych miastach, na przykład w Szczecinie z ponad 300 tys. pozostało 6 tys. osób, w Choszcznie z 14 tys. pozostało tylko 4 mieszkańców.

Na zajętych terenach Armia Radziecka tworzyła w oparciu o dawne niemieckie podziały administracyjne komendantury wojenne, do ich zadań należało sprawowanie władzy cywilnej oraz zabezpieczenie zaplecza frontu. Sytuacja skomplikowała się w połowie kwietnia 1945 r. gdy na Pomorze poczęli napływać Polacy z zamiarem przejęcia władzy na mocy uchwały z 20 lutego 1945 r. Rady Ochrony Państwa ZSRR i dowództwa Armii Czerwonej o przekazywaniu Polakom administracji na ziemiach na zachód i północ od granicy z 1939 r. Zaznaczę tu, że pierwsi polscy osadnicy rekrutowali się z dawnych robotników przymusowych, jeńców wojennych oraz w małej liczbie z osadników, przybyłych tu bezpośrednio za frontem. Na mocy rozporządzenia pełnomocnika rządu 13 września 1945 r. wszelkie sprawy związane z osadnictwem przejął powstały już wcześniej Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR).

Sowieci zatrudniali w zakładach oraz na roli ludność niemiecką, która często uciekała do Rosjan w obawie przed Polakami, nie chciała także podporządkować się decyzjom administracji polskiej. Trzeba tu podkreślić, że po okresie wojny społeczeństwa pozbawione zostały poczucia norm etycznych, szerzyły się gwałty, kradzieże, napady, mordy, w których uczestniczyły wszystkie bez wyjątku strony. W tych trudnych chwilach w stosunkach trójstronnych między Polakami, Rosjanami i Niemcami (choć przemierzali te ziemie i przedstawiciele innych nacji) szczególną rolę przypisywano niemieckim kobietom i ich stosunkom z reprezentantami Armii Czerwonej, co jest bardzo dobrze uwidocznione w dokumentach urzędowych. Wynikał on – jak się wydaje – z przymusu sytuacyjnego, zmuszającego między innymi do powszechnej niemal prostytucji. Ludność niemiecka została poddana zorganizowanym represjom, polegającym na powszechnym wykorzystywaniu jej do rozmaitych przymusowych prac na rzecz Armii Czerwonej oraz na deportacji do obozów pracy przymusowej w ZSRR. Sowietów po pierwszej fali mordów i gwałtów postrzegani byli przez Niemców lepiej od Polaków, między innymi z tego powodu, że początkowo nie wysiedlali ludności, a nawet stawiali w jej obronie przed administracją polską.

Rząd Tymczasowy w Warszawie 14 marca podjął decyzję o utworzeniu polskiej administracji na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Powołano Urząd Pełnomocnika Rządu RP na Okręg Pomorze Zachodnie, pierwszym piastującym tę godność był Józef Kaczocho-Józefski, a po nim Leonard Borkowicz, który dotarł do Piły w połowie kwietnia 1945 r. Pełnomocnik Rządu na Okręg wysyłał w teren tzw. grupy operacyjne, tworzące urzędy pełnomocników obwodowych (od maja 1945 r. mówiono powiatowych) i na obwody miejskie. Głównym ich zadaniem było przygotowanie terenu na przyjęcie polskiego osadnictwa. Sowieckie władze wojskowe przekazywały Polakom władzę bardzo opornie. Celnie ten okres dwuwładzy oddał Borkowicz w słowach do pierwszego polskiego prezydenta Szczecina Piotra Zaremby: *Jest pan polskim prezydentem jeszcze niemieckiego miasta w radzieckiej okupacji.*

Jak to wyglądało w Reczu, ówczesnym Reetz? Dopiero w styczniu 1945 r. wobec ruszenia kolejnej ofensywy znad Wisły rozpoczęto przygotowania do obrony i ewakuacji tego regionu. Na co wyraził w końcu zgodę gauleiter Franz Schwede-Coburg. Budowano barykady na drogach, przygotowywano trasy ucieczki. Na nic się to nie zdało. Już 8 lutego w rejonie Recza pojawiły się oddziały Armii Czerwonej – 61 Armia gen. Pawła Bielowa. Jeszcze tego samego dnia zajęto wschodnią część miasta. Całe miasto zajęto kolejnego dnia, kiedy wkroczyły tu od strony Sicka oddziały 33 korpusu pancernego. W okolicy walki trwały jednak nadal, aż do początku

marca – o Suliborek i Sulibórz.

Władzę w Reczu aż do czerwca pełnił radziecki komendant wojenny. Dopiero w czerwcu ukonstytuował się Zarząd Miejski z burmistrzem Witoldem Misiałkowskim i sekretarzem Jerzym Matuszewskim na czele. Miasteczko nosiło wówczas nazwę Rzeczyca. Głównym zadaniem władz była repolonizacja, pomoc osadnikom, zabezpieczenie mienia i aprowizacja. Obok Zarządu powstała też Miejska Rada Narodowa.

Należy tu zaznaczyć, że władze radzieckie nie przekazywały jednak polskiej administracji wszystkich ziem zagwarantowanych traktatem poczdamskim, między innymi Świnoujścia (październik), Polic z okolicami (1946), oraz wielkich połaci ziemi rolnej – dawnych majątków.

Migracje, zniszczenia wojenne, brak wody pitnej i pożywienia prowadziło do rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych, skórnych oraz wynikających z niedożywienia. Dotykało to praktycznie z jednakową siłą wszystkich cywilów przebywających na tym terenie. Ogromne żniwo zbierały też choroby weneryczne, w niektórych powiatach odsetek zarażonych dochodził do 70% wśród niemieckiej populacji żeńskiej.

Zamieszkała na terenach przyznanych Polsce ludność niemiecka miała być na podstawie postanowień konferencji w Teheranie z grudnia 1943 r. oraz w Poczdamie z 2 sierpnia 1945 r. przesiedlona do Niemiec. Zanim to nastąpiło starano się wyeliminować Niemców z życia publicznego. Wprowadzano ograniczenia w postaci: godziny policyjnej, na przykład w Szczecinku, zakazu posiadania odbiorników radiowych i telefonicznych, w maju 1946 r. zabroniono im opuszczania i zmiany miejsca zamieszkania. Powszechnie i chętnie korzystano z legalnej i nielegalnej pracy niemieckich robotników.

Dyrektywy dotyczące wysiedlenia ludności niemieckiej przedstawiła Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec 20 listopada 1945 r. Trzy i pół miliona Niemców z Polski miało zostać przetransportowanych do radzieckiej (2 mln) i brytyjskiej (1,5 mln) strefy okupacyjnej. Stopniowy odpływ Niemców odbywał się jednak już wcześniej w ramach tzw. dzikich wysiedleń (*wilde Vertreibung*) zorganizowanych przez Wojsko Polskie w lecie 1945 r. Wówczas to usunięto ludność niepolską z powiatów leżących bezpośrednio nad Odra i Nysą Łużycką. Decyzja ta miała dodatkowo stworzyć fakty dokonane przed konferencją w Poczdamie. W wielu miejscach radzieccy dowódcy sprzeciwiali się wysiedleniom, w Choszcznie doszło nawet do aresztowania żołnierzy polskich i osadzenia w obozie wraz z Niemcami.

Wysiedlenia popoczdamskie, miały już bardziej zorganizowany charakter. Centralnie przygotowana akcja pod nazwą *Jaskółka* ruszyła 22 lutego 1946 r. i trwała do października

1947 r., w jej rezultacie z Pomorza Zachodniego wywieziono ok. 760 tys. osób. Ludność niemiecką podzielono na pięć kategorii, w pierwszym rządzie ekspediowano osoby niepracujące i uciążliwe, do ostatniej grupy należeli cenni specjaliści. Mimo apeli władz o poprawne traktowanie, dostarczanie racji żywnościowych, zapewnienia minimum opieki lekarskiej etc. oraz pozytywnej oceny Misji Brytyjskiej to jednak samo wysiedlanie nie odbywało się w warunkach, które dziś można by nazwać humanitarnymi.

Domostwa wyjeżdżających miały być przekazane Polakom lub deportowanym w ramach akcji Wisła Ukraińcom, których w województwie szczecińskim do 1 października 1947 r. osiedlono ponad 48 tysięcy. Po wstrzymaniu akcji w lecie 1948 r. pozostało na Pomorzu Zachodnim ponad 34 tys. osób pochodzenie niemieckiego z czego ponad 26 tys. żyła na wsi i była zatrudniona przez Armię Radziecką. W związku z czym wysiedlanie ludności niemieckiej z tego terenu uznano za zakończone.

Wracając znów do samego Recza, po ulokowaniu się w Choszczynie grupy operacyjnej zaczął w maju działać tam powiatowy oddział PUR – punkt etapowy pod kierunkiem Jana Surowiaka. Działalność PUR trwała 10 miesięcy — do marca 1946 r., kiedy program osiedleńczy przejęły wydziały i referaty osiedleńcze władz powiatowych. W procesie tym czynnie pomagały organizacje jak Polski Związek Zachodni, który sprzyjał obejmowaniu nad poszczególnymi powiatami patronatów powiatów w Polsce centralnej. Jednak pierwszymi osadnikami polskimi byli sprowadzeni tu w czasie wojny robotnicy przymusowi oraz jeńcy wojenni. Byli to m.in. Piotr Chrzanowski, Stanisław Siatecki późniejszy milicjant, Henryk Perzanowski. Jako kolejni przybyli tu kolejarze i pocztowcy, którzy już niedługo podjęli pracę na terenie powiatu, choć ich stabilizacja nastąpiła dopiero w roku kolejnym.

Ludność przyjeżdżała z różnych stron świata. Najliczniejszą grupą byli tzw. repatrianci (repatriacja – powrót do kraju, podczas, gdy duża część tych „repatriantów” mieszkała w granicach Polski przed 1939 r.). Przybywali tu i z zachodu i najliczniej ze wschodu. Ta ze wschodu miała dwie główne fale w latach 1944-1948 i 1955-1958. Na teren powiatu przybywała głównie ludność z Kresów. Pierwsze transporty trafiły tu w maju i lipcu 1945 r. Kolejną grupą byli przesiedleńcy z głębi ZSRR. Co ciekawe z różnych miejsc na Pomorzu wiemy, że to oni mieli pierwszeństwo w otrzymywaniu. Repatrianci chcieli się osiedlać głównie w miastach lub w ich pobliżu ze względu na tzw. lepsze życie i doświadczenia związane z kolektywizacją na wzór radziecki. Osiedliło się też w mieście i jego okolicach również kilkanaście rodzin repatriantów z Europy Zachodniej, m.in. byłych żołnierzy z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Drugą dominującą grupą polskich osadników byli tzw. przesiedleńcy z Polski centralnej, którzy osiedlali się głównie na wsi. Z czasem pojawili się tu także wygnańcy z Akcji „Wisła”. Na teren gminy trafiło kilkadziesiąt rodzin łemkowskich. Grupa ta była objęta stałą inwigilacją, licznymi ograniczeniami. Pewien rozwój wspólnotowy grupy nastąpił dopiero po polskim październiku 1956 r.

Generalnie na terenie powiatu największa dynamika osiedleńcza miała miejsce w pierwszych dwóch latach: 1945 i 1946 r. Co ciekawe w okresie 1946-1950 występowało tu ujemne saldo migracyjne, co wynikało z ówczesnej jeszcze występującej w warunkach powojennych mobilności i był pokrywany przez wysoki przyrost naturalny w skali regionu. Ogólnie można przyjąć, że główny nurt zasiedlania ziemi reczańskiej trwał jak i ogólnie okres pionierski na Pomorzu do 1948 r.

Skalę przemian etnicznych najłatwiej przeanalizować na podstawie obserwacji danych z roku 1945. 1 maja było tu 30 Polaków i 1200 Niemców; 1 sierpnia: 350 Polaków i 600 Niemców, a 1 grudnia 612 Polaków i 167 Niemców.

Z jakimi problemami i w jakich okolicznościach przybywali tu polscy osadnicy w 1945 r. i kolejnych latach? Otaczała ich specyficzna powojenna rzeczywistość, która silnie wpływała na świadomość i nastrój ludności. Wynikała ona z szeregu problemów, między innymi:

- utraty przez Polskę 20% terenów (utrata 182 tysięcy km² na wschodzie, przyłączenie 102 tys. tysięcy km² na zachodzie);

- istnienia dwuwładzy – rząd londyński i rząd lubelski;
- ograniczenia suwerenności na rzecz ZSRR;
- obecności Armii Czerwonej i NKWD;
- zniszczenia kraju i poczucia konieczność jego odbudowy;
- rozproszenia Polaków po świecie oraz ich migracji;
- walki politycznej o władzę w kraju, zwalczaniu podziemia niepodległościowego i opozycyjnych względem komunistów struktur politycznych;
- powszechnej powojennej traumy.

Ponadto, co było specyficzne zwłaszcza dla Ziemi Odzyskanych:

- problemu poczucia tymczasowości i niestabilności granicy na Odrze i Nysie;
- kwestii obecności, a następnie wysiedlenia ludności niemieckiej;
- problemu niedostatecznego zasiedlenia Ziemi Odzyskanych, co powodowało zniszczenia majątku z powodu braku opieki i zagospodarowania;

- długotrwałego powstawania nowego plemienia polskiego na ziemiach zachodnich, złożonego z różnorodnych grup pochodzących z wszystkich regionów dawnej Rzeczypospolitej;
- poczucia obcości na dotychczas niemieckojęzycznej nowej ziemi, często o innej kulturze materialnej i rolnej od tych panujących na dotychczasowym miejscu zamieszkania;
- problemów aprowizacyjnych i komunikacyjnych;
- plagi szabrownictwa – zorganizowanych gangów i pojedynczych osób;
- braku urzędników i specjalistów, w tym księży;
- braku inwentarza oraz słabości plonów w pierwszych latach;
- zniszczeń wojennych (także niebezpieczeństw, jak istnienia pól minowych w miejscach walk).

Kolejną kwestią, na którą chciałbym zwrócić uwagę, ale jedynie marginalnie, gdyż wymagało by to dogłębnych oddolnych badań nad poszczególnymi regionami, to powolne, ale ustawiczne budowanie w Polsce kraju na wzór radziecki przez komunistów, czyli wszechmocny wpływ na wszystkie dziedziny życia ideologii komunistycznej, zwłaszcza od 1948 r.

Rozwijając niektóre ze wskazanych tu powyżej punktów chciałbym pokreślić, że utrata kresów wschodnich przez Niemcy oraz (jak napisał wybitny polski pisarz Tadeusz Konwicki) dziwaczne przesunięcie Polski na Zachód, gdzie miał znajdować się pachnący obco „odzyskany dom”, spotęgowały spory o granicę polsko-niemiecką. Miał on – jak słusznie uważano - wzrastać z każdym kilometrem, o który posunęliśmy się na zachód. Świadomość odebrania tzw. Niemiec Wschodnich spowodować musiała w powojennych Niemczech jeszcze silniejszy rewanżyzm, o czym zdawano sobie sprawę. W tej sytuacji nauka polska, na czele z historiografią podjęły się, opierając na dorobku *polskiej myśli zachodniej* i wykreowanej przez Piastowskiej koncepcji dziejów Polski, wykazania słowiańskiej a co za tym idzie polskiej przeszłości Ziemi Odzyskanych. Z mentalnego punktu widzenia była to bardzo istotna część życia, która pozwalała na zacieranie niektórych traum związanych z obcością nowej ziemi.

Jednak najważniejszą kwestią po latach wojny i tułaczki było rozpoczęcie normalnego codziennego życia. Przyjrzyjmy się krótko, jak się rozwijało? Instytucją, która miała chyba największy wpływ na procesy osadnicze i społeczne była szkoła. Otwarto ją w Reczu z początkiem kolejnego roku szkolnego 10 września 1945 r. Posiadała jedynie dwie sale lekcyjne, reszta nadal była zagruzowana. Zajęcia zaczęły się dnia następnego. Uczniów w liczbie 36 podzielono na 4 oddziały. Nauka nie była ich jedynym zajęciem. Razem z rodzinami brali udział w akcji je-

siennych wykopków ziemniaków w październiku 1945 r. Ponieważ niemal powszechnym problemem był brak aprowizacji szkoła próbowała dożywiać uczniów, ale sama też pozostawała bez środków i żywności. Mimo tych trudności próbowano przywrócić normalną pracę wychowawczą. 1 listopada oddawano hołd poległym, a 23 grudnia 1945 r. zorganizowano jasełka, dzieci otrzymały po dwukilogramowym bochenku białego chleba, co dziś wydaje się śmieszne, ale w tamtych zimowych powojennych warunkach stanowiło o głodzie lub jego braku w całych rodzinach. W lutym 1946 r. powstało przy szkole koło PCK, zaś w marcu ZHP. Organizowano festyny w parku. Uczniów wraz z liczbą osadników przybywało. Pierwszy rok szkolny ukończyło 122 uczniów. Kolejny rok szkolny 1946/1947 zaczął się tradycyjnie od nabożeństwa. Naukę rozpoczęło 170 uczniów, których nauczało 4 nauczycieli. Trudności nie ominęły także i tej dziedziny życia. W lipcu 1947 r. aresztowano kierownika szkoły Bruchwalskiego, oskarżonego o to, że w obozie pełnił funkcję kapo, co zmniejszyło liczbę nauczycieli na początku roku do trzech. Kolejnego kierownika Mikołaja Handzę milicja aresztowała za malwersacje w marcu 1948 r.

Warto odnotować, że w październiku 1948 dzieci wyjechały na słynną i ukazującą dorobek Polski na ziemiach zachodnich wystawę Ziem Odzyskanych do Wrocławia. W następnych latach we wpisach kroniki szkolnej widoczna jest w stalinizacja i upolitycznienie szkoły. Mówi się tam o likwidacji analfabetyzmu – pozostałości sanacyjnej Polski, czy o realizacji planu 6-letniego.

Drugą ważną instytucją był kościół. Jednak jego dzieje należą jeszcze do mało odkrytych kart historii. Dotychczas ewangelicką i górującą od stuleci nad miastem gotycką świątynię poświęcił ks. Koralski z Choszczna dopiero 4 listopada 1945 r., co dobitnie świadczy o braku duszpasterzy w tym trudnym okresie.

Należy podkreślić, że aż do czasu walki z prywatną inicjatywą w Polsce, ale właśnie tu na ziemiach zachodnich błyskawicznie i bujnie rozwijał się handel i rzemiosło. Przybyli tu osadnicy przywozili ze sobą niewielkie narzędzia, resztą kompletowano na miejscu z tego co znaleziono, ale przede wszystkim przywozili powiedzielibyśmy dziś know-how, smykałkę do interesów i pasję. Już 8 maja 1945 r. do Recza przybył Józef Koś, który uruchomił piekarnię, a kiedy w 1950 r. przejęła ją miejscowa Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska uruchomił kolejną. Istniały też sklepy z gastronomią Feliksa Szustkowskiego, kolejny Franciszka Szczęsnego i restauracja Władysława Kumosińskiego. Pojawiały się kolejne sklepy, także mięsny, fryzjer, szewc, krawiec. W latach planu 6-letniego całość handlu i rzemiosła przejęła Gminna Spółdzielnia.

W 1946 r. uruchomiono Fabrykę Maszyn Rolniczych Honchel zatrudniającą 12 osób i Fabrykę Kartonazy, produkującą tektury, segregatory, ale też obudowy głośników itp. Przed zamknięciem już w 1952 r. zatrudniała 57 osób. Oba zakłady zamknięto w 1952 r. w nowej już sytuacji polityczno-gospodarczej. Na ich miejsce powołano tu decyzją polityczną Fabrykę Sprzętu Okrętowego, znaną później pod nazwą REMOR. Jego aktywizacja przypada na lata po 1956 r. i objęciu funkcji dyrektora przez Stanisława Kamadę. W roku 1946 powstała też pierwsza spółdzielnia – filia spółdzielni spożywców w Choszczynie. Jednak w 1949 r. została przekształcona w Gminną Spółdzielnię Samopomoc Chłopska.

Ważną i wieloraką funkcję na terenach rolniczych pełnią do dziś Ochotnicze Straże Pożarne. Reczańską OSP powołano w 1947 r. Pierwszym naczelnikiem był Jan Knyziak, potem Franciszek Szustkowski, Henryk Bruchwalski i Florian Filoda. Początkowo sprzęt był szczątkowy – najczęściej poniemiecki i oparty na ręcznej pompie. Dopiero w 1948 r. pojawiły się elementy wyposażenia ochrony osobistej i umundurowania. Pierwszy samochód trafił do OSP dopiero w 1952 r., kiedy liczyła ona 18 członków. W 1955 r. powstała strażacka orkiestra dęta – obsługująca następnie wiele uroczystości państwowych i lokalnych.

W małych miejscowościach od chyba zawsze i bezsprzecznie do dziś najślabszym ogniwem jest kultura. Niestety także i w Reczu sytuacja nie była inna. Pierwsza instytucja kultury powstała tu dopiero 16 stycznia 1949 r. i była to biblioteka w Żółwinie założona przez Zofię Kuśmirek. W październiku tego roku przeniesiono ją do miasta. Długo też nie było tu kina stałego, a jedynie pojawiało się objazdowe. Stałe kino Zorza powstało 1954 r.

Aktywność społeczna realizowała się natomiast w innych dziedzinach. W 1948 r. powstała Służba Polsce, prowadząca obok szkoleń wojskowego i zawodowego też działalność na polu sportu. Była to jednak organizacja polityczna. W 1952 r. powstał natomiast klub sportowy Stal.

Jeśli idzie o życie polityczne i społeczne to ich rozwój także przebiegał powoli. W pierwszych latach powojennych powstawały tu lokalne i początkowo słabe struktury partii: PPR, PPS, SD, a obok tych związanych z ruchem komunistycznym opozycyjnych ugrupowań rolnicze SL i następnie PSL. W końcu 1946 r. widzimy działające tu koło Ligi Kobiet.

Warto wskazać, że w referendum ludowym z 30 czerwca 1946 r. uprawnionych do głosowania było 697 os., oddano 599 głosów, w tym ważnych 552. Na pierwsze pytanie o zniesienie senatu odpowiedź „nie” udzieliło 411, co pokazuje faktyczną orientację polityczną ówczesnych mieszkańców i popularność jedynej opozycyjnej wówczas partii – PSL. Z kolei już w wyborach 19 stycznia 47 r. po rozbiciu opozycji, wg kroniki szkolnej aż 98 % zostało oddanych na

Blok Demokratyczny. Należy jednak poddać w wątpliwość ten wynik, gdyż jak wiadomo wyniki zostały sfalszowane.

Miasto w 1945 r. zostało zniszczone w ok. 60%, z 432 domów 216 było uszkodzonych, a 10% zniszczona całkowicie. Patrząc jednak na strukturę zabudowy starego miasta w Reczu wydaje się, że stopień zniszczenia był większy. W pierwszych latach w związku z niepewnością, ale też i brakiem materiałów oraz brakiem przyzwolenia na prywatną inicjatywę nie podejmowano budowy nowych obiektów, ale jedynie doraźnie zabezpieczano i wykonywano niewielkie remonty tych obiektów, które nadawały się do zamieszkania i użytku. Dużą liczbę budynków, co do których nie było potrzeb remontowych wynikających z małej liczby polskich osadników, zastosowanej techniki budowlanej (ryglowej) rozebrano, a „uratowana” cegła wyjechała z Recza, bądź skierowano ją na inny „odcinek”. Ożywienie przyniósł dopiero kolejny przełomowy rok 1956 i lata kolejne, które oznaczały pierwsze inwestycje. Pierwszy dom wybudowano tu ponoć dopiero w połowie lat 60-tych. Wtedy też dopiero ukończono odgruzowanie miasta.

Przedstawiony tu obraz Recza stanowi jedynie wycinek wszystkich sukcesów i porażek ówczesnego życia. Problematyka ta wymaga dalszych dogłębnych badań opartych na rozpoznaniu materiałów archiwalnych przechowywanych w archiwach zwłaszcza państwowych różnych szczebli, poszczególnych instytucji (m.in. szkoła, kościół, zakłady pracy), archiwach prywatnych, wywiadów ze świadkami historii oraz bogatego i fenomenalnego zbioru kronik powstających w Reczu od kilkadziesiąt lat. Jest to zadanie na kilka lat pracy dla zespołu badaczy, którzy ujęliby dzieje polskiego już Recza po 1945 r. na tle szerszych procesów społecznych, gospodarczych, kulturalnych i politycznych, a zarazem ukazałoby dzieje miasta jako społeczności, małej ojczyzny, w której to narracji odnaleźli by swoje miejsce dawni pierwsi polscy mieszkańcy Recza i potomkowie. Tym samym pozwalam sobie tu postulować powstanie takiej monografii, która, jak miemam, ukazywała by sukces włączenia Recza w krwioobieg polskiego państwa i społeczeństwa, choć zapewne z wieloma niespełnionymi planami, a nawet porażkami. Mieszkańcy wszystkich miejscowości zasługują na takie profesjonalne monografie przygotowane o naukowe standardy, gdyż bez nich ich wiedza jest niepełna, a wypełnienie jej buduje nie tylko tożsamość lokalną i przywiązanie, ale też wzmaga procesy gospodarcze, gdyż otwiera się bank pomysłów na zagospodarowanie przestrzeni (turystyka, inicjowanie działań przez NGO, pisanie projektów, aktywizacja społeczna itd.) w oparciu o rzetelną wiedzę. Już dziś mogę wskazać na podstawie przytoczonych powyżej faktów, że choć dzieje Recza po 1945 r. doskonale wpisują się w pewien ogólnopolski i/lub charakterystyczny dla ziem zachodnich

model przemian to widoczna jest tu lokalna czy regionalna droga, którą należy uwzględnić i zgłębić.

„Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest mniejszym i niemożliwym do uniknięcia złem” pisał o przesiedleniach Jan Józef Lipski. Jednak to chirurgiczne cięcie, które wywołało następnie ruch rewanżystowski w RFN, które do dziś w sercach milionów – Polaków, Niemców, Ukraińców pozostawiło uczucie tęsknoty i krzywdy uratowało prawdopodobnie Europę przed czymś gorszym w przyszłości, może nawet kolejną wojną. Herbert Hoover już w 1943 r. stwierdził, że „przesiedlenie jest bolesne, ale nie tak jak nieustanne cierpienia mniejszości i stałe zagrożenie wojną”. Trzeba dodać, że zachowanie mniejszości niemieckiej w krajach sąsiednich, która poparła masowo Hitlera dało aliantom *carte blanche* w ich sprawie, zaś dominacja Józefa Stalina nad pozostałymi aliantami w tej części Europy w kwestii przesiedleń pozostałych grup narodowych i etnicznych oraz przyszłości politycznej.

Druga wojna światowa i związane z nią wydarzenia spowodowały, że najwyższy podatek z krwi i cierpienia zapłacili w naszej części Europy najmniej winni, dotyczyło to przede wszystkim milionów Żydów, milionów Polaków, milionów Rosjan, ale i milionów niemieckich cywiliów, ginących w nalotach alianckich oraz w ucieczce przed frontem. Jednak w głośnym ostatnio kontekście upamiętnienia niemieckich ofiar wysiedleń nie można zapomnieć – co zanotował amerykański historyk Norman Naimark, że „w przeciwieństwie do wszystkich innych przypadków czystek etnicznych, w odniesieniu do wygnania Niemców pozostaje uczucie ambiwalentne, kto jest ofiarą, a kto zbrodniarzem”.

Dla wielu mieszkańców Europy Środkowej koniec wojny dopiero rozpoczynał okres trwogi. Wielu Niemców prawie do końca wojny żyło w idylli stworzonej przez propagandę Goebbelsa, mąconej jedynie wiadomościami o śmierci ojców, mężów i synów na różnych frontach. Decyzje podjęte ponad głowami Polaków i Niemców zadecydowały o tym, że Polska przesunęła się na zachód i wysiedlono z niej miliony obcych. Liczba ofiar nie miała dla przywódców wielkiej trójki żadnego znaczenia. „Milion czy dwa?” zapytał Józef Stalin w Jaltce Winstona Churchilla odnośnie „planowanej” liczby ofiar niemieckich do końca wojny. „Och, nie planujemy żadnego limitu pod tym względem” miał odpowiedzieć premier Brytanii i dodawał, że w takim razie nie będzie problemu ze znalezieniem na terenie Rzeszy miejsca dla uciekinierów ze wschodu. Liczba wszystkich ofiar niemieckich związanych z ucieczką i przesiedleniami mogła sięgnąć nawet 2 milionów, jednak nie były to tylko ofiary ani czeskiej, ani polskiej, ani rosyjskiej przemocy, ale nazistowskiego szaleństwa, w którego ramach nie było miejsca nawet

na myśl o możliwości przegrania wojny: że wobec sposobu jej prowadzenia na wschodzie od jesieni 1939 r. należało się liczyć z daleko idącymi kontrrepresjami. Większość Niemców nie tylko milczała wobec wyrządzanego przez wybrany przecież przez nich samych system władzy zła, dodam, że program Adolfa Hitlera wyłożony w Mein Kampf był znany już przed 1933 r., ale żyła na koszt całej Europy, rozwiązując za pomocą kolejnych wojen, wysiedleń, kradzieży i mordów swoje problemy gospodarcze, mieszkaniowe, czy demograficzne. Rabunek i eksploatacja podbitych krajów pokryły minimum 20% kosztów całej wojny, z tego też powodu aż do 1945 r. zwykli cywilni Niemcy nie poczuli głodu, tak powszechnego zwłaszcza we wschodniej części kontynentu, którego często doświadczali przodkowie dzisiejszych mieszkańców Recza.

Dziś trudno wymienić kraj, w którym nie ma uchodźców – przesiedleńców, wysiedleńców itp., ponad dwudziestoprocentowy współczynnik ma Grecja, niemal taki sam Polska, o czym często i niesłusznie dziś zapominamy. W duszy Polaków migracje były i chyba są zaprogramowane. Wszak o polskim losie tułaczym pisał już Juliusz Słowiacki słowami: „my – sami wygnańce”. My, dzisiejsi mieszkańcy ziem zachodnich, Pomorza, Recza byliśmy uchodźcami, musieliśmy z różnych przyczyn (choćby wielodzietności i braku perspektyw na część spadku) opuścić, czasem w biegu uchodzić z naszych domów. Ostatecznie znaleźliśmy się tu. Tu wykorzystując wiedzę i umiejętności postawiliśmy nasz nowy dom, naszą małą ojczyznę. Są one nie tylko naszą spełnioną powinnością, sukcesem, ale też i wyzwaniem na jutro. Przywołując tu swoje i przejmując część dziedzictwa naszych poprzedników staliśmy się bogatsi. Dziś generalnie nie boimy się tego spadku, budujemy na nim co dzień nasz świat, naszą codzienność i przyszłość. Pamiętać musimy i na co mamy dowody z historii – nic nie jest dane raz na zawsze, *panta rhei*, a wśród tego także i ludzie, a ich wędrówki są wpisane w dzieje naszej planety. Zatem każdy przełom stanowi koniec czegoś co było, ale jest też początkiem czegoś nowego. Jak pisze historyk ruchów migracyjnych Jan M. Piskorski „*kto się nie dostosuje, z zasady znika z widowni dziejów. Dotknęło to nawet państw rzekomo wiecznych, jak Rzym.*”

Dr Paweł Migdalski

Uniwersytet Szczeciński, Instytut Historyczny

Podstawowa bibliografia:

Borejsza J., Śmieszne sto milionów Słowian..., Warszawa 2006.

Gasztold T., Lindmajer J., Recz. Zarys dziejów, Słupsk 1980.

Golczewski K, Pomorze Zachodnie na przełomie dwóch epok 1944-1946, Poznań 1964

Halicka Beata, Polski Dziki Zachód. Przymusowe migracje i kulturowe osvajanie Nadodrza 1945-1948,

Kraków 2015.

Jankowiak S., *Wysiedlenie i emigracja ludności niemieckiej w polityce władz polskich w latach 1945-1970*, Warszawa 2005.

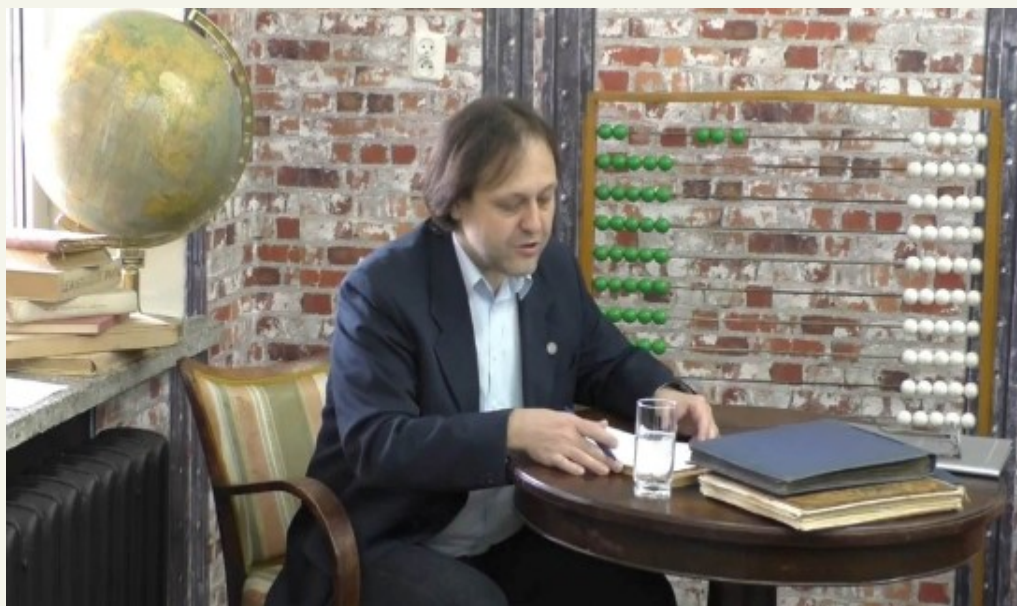
Kaszuba E., *Między propagandą a rzeczywistością*, Warszawa-Wrocław 1997.

Mordawski H., *Ziemie Odzyskane 1945-1956*, Brzezia Łąka 2015.

Niemcy w Polsce 1945-1950. *Wybór dokumentów*, t. III, Warszawa 2001.

Nitschke B., *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski w latach 1945-1949*, Zielona Góra 1999.

Odbudowa miast Pomorza Zachodniego po drugiej wojnie światowej. Wybrane problemy, red. P. Migdalski, Poznań–Stargard 2021.



Piskorski J.M., *Gorzka sól ziemi. Migracje i transformacje*, Warszawa 2021.

Piskorski J.M., *Polacy i Niemcy. Czy przeszłość musi być przeszkodą?*, Poznań 2004

Piskorski J.M., *Wygnańcy*, Warszawa 2011.

Pomorze poprzez wieki, red. J.M. Piskorski, Szczecin 1999.

Problematyka przymusowych przesiedleń i stosunków polsko-niemieckich po 1945 roku jako przedmiot badań historycznych i praktyki szkolnej. Materiały z XXXI Polsko-Niemieckiej Konferencji Podręcznikowej, red. P. Migdalski, E. Włodarczyk, R. Maier, Szczecin 2007.

Sula D., *Działalność przesiedleńczo-repatriacyjna Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w latach 1944-1950*, Lublin 2002.

„Tym samym pociągami” Przesiedlenia przymusowe, procesy dezintegracyjne i integracyjne na Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej w latach 1939-1949 w wyborze prac magisterskich powstałych na seminarium Jana M. Piskorskiego, red. K. Marciszewska, P. Migdalski, Chojna-Szczecin 2013.

Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych, red. Z. Mazur, Poznań 1997.

Wspólne dziedzictwo? Ze studiów nad stosunkiem do spuścizny kulturowej na Ziemiach Zachodnich i Północnych, red. Z. Mazur, Poznań 2000.

Ziemia Choszczeńska. Przeszłość i terażniejszość, red. S. Lasek, Szczecin 1976.

„Ziemie Odzyskane”. W poszukiwaniu nowych narracji, red. E. Kledzik, M. Michalski, M. Praczyk, Poznań 2018.

Ziemie Odzyskane / Ziemie Zachodnie i Północne 1945-2005. 60 lat w granicach państwa polskiego, red. A. Sakson, Poznań 2006.

Źródła do dziejów Pomorza Zachodniego, t. 1-18, red. K. Kozłowski i in., Szczecin 1983-2021

O pracy w ośrodku zdrowia opowiada Pani Grażyna Konieczna

Jakie są Pani najwcześniejsze wspomnienia związane z Reczem? Kiedy przybyła Pani do Recza?

Akurat moje wspomnienia łączą się z dniem narodzin, ponieważ przyszedłam na świat w Boże Narodzenie ... w tutejszej przychodni (śmiech). I do dziś w tej przychodni pozostałam.

Mogłaby Pani nam opowiedzieć o swojej pracy? Na czym ona polega?

Moja praca to jest bardzo ciężka praca, bo to jest praca pielęgniarska. To jest bardzo odpowiedzialna praca przede wszystkim. Jako pielęgniarka pracuję już 47 lat – od lat 70.

jestem pielęgniarką w tutejszej przychodni.

Zaczęła Pani pracować zaraz po szkole?

Tak. Najpierw była szkoła podstawowa, później liceum, a później studium medyczne, praca w szpitalu w Choszczynie przez niecałe 1,5 roku, a ponieważ potrzebowali pielęgniarki do Recza, więc przeniosłam się tu do przychodni i do dziś pozostaję tutaj w pracy.

Jeśli miałabym coś powiedzieć o moich młodych latach, jako młodej dziewczyny, takiego podlotka to mogę powiedzieć, że moje młode lata, to były beztrudne lata. Chodziło się po ruinach, po rozwalonych budynkach ...

A studium medyczne ukończyła Pani...

... w Szczecinie. Obecnie nie ma już tej szkoły, bo te wszystkie szkoły zawodowe, pielęgniarskie zostały zlikwidowane (licea medyczne czy studium medyczne).

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z zakładem pracy, w którym Pani pracuje?

Najmiłsze? ... Cała moja praca jest bardzo miła. Widzi się uśmiech u tych, którym się pomogło, jakiś wyraz wdzięczności, uścisk dłoni, zadowolenia. To jest bardzo miłe, gdy pacjent czuje więź z pielęgniarką i dziękując jej za to z uśmiechem lub jakimś miłym uściskiem dłoni...

Jakie sukcesy zawodowe mogłaby pani wymienić?

Sukcesy? W ogóle sukcesem zawodowym jest cała moja praca, bo zawsze chciałam być pielęgniarką ... i jestem tą pielęgniarką. A jednym z takich moich sukcesów było to, że kiedyś sama uratowałam życie człowiekowi. To był mój taki osobisty sukces, który pamiętam. A w ogóle pasmem sukcesów jest to, że pomagam ludziom. To jest mój sukces, że ktoś jest zadowolony, że ktoś mnie miło przyjmuje, że ktoś potrzebuje mojej pomocy. W mojej pracy takie sukcesy mają bardzo duże znaczenie.

A proszę powiedzieć czy w Reczu były jakieś inne przychodnie?

Ja byłam zawsze w tej przychodni, o której mówimy, ale ona nie zawsze była w tym miejscu. Wcześniej przychodnia była jeszcze na ulicy Wolności, później na Alejach Wolności, a później została przeniesiona koło baszty (Baszty Drawieńskiej – przyp.).

Ale była jedna przychodnia, tylko że była przenoszona?

Jedna. Tak.

Jakie postaci czy osoby były blisko związane z przychodnią?

Państwo Kozinowie. Pan Marian Kozina i Pani Maria Kozina. Pani Maria Kozinowa była położną, a Pan Marian był pielęgniarzem. Dla mnie to są pionierzy służby zdrowia w Reczu. Ich pierwszych poznałam. Pani Maria mnie odbierała, jak się rodziłam, a później tak się ułożyło, że pracowałyśmy razem – bardzo długo – do czasu aż istniała izba porodowa w Reczu. Pan Marian był nie tylko pielęgniarzem – był też laborantem, aptekarzem, prowadził punkt szczepień ... To były takie czasy, gdy mało było pracowników służby zdrowia, więc każdy musiał wykonywać prawie wszystkie czynności związane z pomocą dla chorych.

Proszę powiedzieć, Pani Maria – jaka to była osoba?

To była ciepła osoba. Nie odmawiała pomocy praktycznie nikomu. Mieszkali w przychodni na dole, więc ... świątek, piątek czy niedziela byli zawsze pod ręką. Pamiętam wspomnienia z Panią Marią, że



nawet jeździła do porodu motorem, wozem ... kiedyś zdarzyło jej się odebrać poród na wozie drabiniastym przy baszcie, bo nie zdążyli dojechać do przychodni ... Także mam miłe wspomnienia z tamtego okresu. To byli pionierzy. Oni byli pierwsi ... ich pierwszych poznałam. Pamiętam, że jak miałam pierwsze szczepienia, to wykonywał je Pan Marian Kozina. Lekarze się zmieniali, jak to lekarze, a państwo Kozinowie zamieszkali w przychodni na dole i byli zawsze na pomoc, pod ręką, na każde zawołanie.

Czyli to były osoby, na których zawsze można było polegać?

Tak. Na nich zawsze można było polegać. Pan Kozina chodził po domach robić zastrzyki, szczepienia, jeździł wszędzie, a wtedy nie było środków transportu, więc jeździł motorem, czasem wozem dowozili Pana Kozinę do chorego. Daleko jeździł: do Żółwina, Lubieniowa. Właściwie obsługiwał całą gminę. To były trudne czasy, ale fajne czasy, szczęśliwe ...

Jakie postaci związane z miastem mogłaby Pani wymienić? Chodzi o osoby, które miały największy wpływ na Panią, miasto, zakład pracy.

To trudne pytanie ... nie wiem, jak na nie w pełni odpowiedzieć. Na pewno rodzice, chociaż ojciec

wcześnie odszedł, zmarł młodo ... miałam 14 lat jak zostałam bez ojca. Została tylko mama i to ona była tą moją jedyną opiekunką. Później weszło życie dorosłe, praca zawodowa ... to już byli koledzy i koleżanki z pracy. Dorosłe życie, dzieci. Czy taka osoba postronna miała wpływ na moje wybory, na pracę? Ciężko mi kogokolwiek wspomnieć w ten sposób.

A takie osoby, które były związane z miastem, które miały wpływ na mieszkańców.

Akurat nie kojarzę takiej osoby ... to były różne osoby dorosłe ... czy to był prezes GS-u, czy to był naczelnik gminy ... czy pani dyrektor ZOZ-u, która mnie tu skierowała do pracy ...

A czy to był Pani wybór czy konieczność przyjscia tu do pracy?

To znaczy pierwszą podstawową przyczyną dlaczego tu przyszłam do pracy, to był wymóg, że była potrzebna pielęgniarka środowiskowa. A ponieważ mieszkałam w Reczu i do pracy dojeżdżałam, więc zaproponowano mi kurs pielęgniarki środowiskowej i przejście do przychodni w Reczu. Po drugie miałam małe dziecko, więc ciężko mi było dojeżdżać, a tu byłabym na miejscu i dzięki temu mogłam rozłożyć pracę w innych godzinach. W Choszczynie był nienormowany czas pracy – czasem było 12 godzin, więc nie mogłam sobie pozwolić na taką pracę, na nockę. Bardzo chętnie się zgodziłam, zrobiłam kurs pielęgniarki środowiskowej i przeszłam do przychodni w Reczu.

A czym się różni praca pielęgniarki środowiskowej od takiej pielęgniarki, którą my znamy w ogóle?

Pielęgniarka środowiskowa zajmuje się przede wszystkim chorymi w domu – odwiedza chorych w domu, wykonuje wszelkie zabiegi, odwiedza maluszki. Ta praca nie polega na pracy w przychodni, tylko na pracy w środowisku, w terenie, u rodzin bogatych, biednych, wielodzietnych, chorych, zdrowych. Bierze się zlecenia lekarskie, które prace należy wykonać w środowisku, a pracując w terenie, znając potrzeby mieszkańców, czasami idziesz do rodziny bez powodu, a idziesz po to, żeby ich odwiedzić, żeby z nimi porozmawiać, pocieszyć, doradzić, wesprzeć czy pokierować do jakiegoś lekarza, czy wezwać panią doktor.



Podejrzewamy, że osoby do których Pani chodziła często czekają na taką wizytę...

Tak, bardzo często. Na przykład jak mówię, że przyjdę do pani, odwiedzę panią za 2-3 dni, a coś mi wypadnie, to jednak muszę iść, bo wiem, że ona tam czeka, więc starałam się zawsze dotrzymać słowa, że jak mam przyjść, to przyjdę, nawet jak miałyby to być po godzinach, żeby nie była mną zawiedziona. I musiałam poświęcić takiej osobie zawsze dużo więcej czasu, żeby zdobyła u niej większe zaufanie, żeby posiedziała, porozmawiała. Czasami taka osoba czuła się spokojniejsza po mojej wizycie.

Czyli to nie tylko były takie spotkania typowo medyczne...

To się łączyło jedno z drugim ... zlecenie, zrobienie zastrzyku, założenie kroplówki, zmiana opatrunku, a w międzyczasie, wykonując swoją pracę zawodową, zawsze się z pacjentem rozmawiało.

Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą?

Trudności są zawsze, ale są takie ... może nie tyle nie zauważane, co związane z chorobami, które pacjenci mają. Czasami mam taki niedosyt, że przychodzę do pacjenta, a nie mogę pomóc, czuję się bezsilna wobec choroby, którą ma pacjent.

Inne trudności? Wiadomo, że o każdej porze trzeba było dotrzeć do pacjenta, nieważne czy samochodem czy pieszo. Sprzęt był, chęci były ... tylko czasami taka niemoc, niemoc wobec choroby, wobec osoby, której chciałoby się pomóc, a jednak nie poradzisz ...

Cz ma Pani jakieś marzenia związane z zawodem, który Pani wykonuje?

Jestem już na emeryturze, ale nadal pracuję i powiem wam, że boję się dnia, że kiedyś mi ktoś powie, że niestety już muszę odejść z pracy ... naprawdę ... i jak są takie dni kiedy nikt do mnie nie zadzwoni, nie potrzebuje mojej pomocy, to czuję się wtedy niepotrzebna. Pracuję już 47 lat, i to siedzi we mnie, ta praca, że ja muszę być pielęgniarką, że ja muszę pracować ... i nie wyobrażam sobie, że kiedyś tą pracę zakończę. Jak mam jakieś 2-3 dni wolnego, to ja już muszę do przychodni zajrzeć. To takie skrzywienie zawodowe z mojej strony.

A jakie są Pani marzenia, zainteresowania?

Działka, odpoczynek, może gotowanie. Tak naprawdę w mojej pracy zawodowej nie miałam jakiegoś określonego celu. Celu w sensie pozazawodowym, zwiedzania świata ... jestem raczej domatorką. Nigdy nie pomyślałam, że ... można będzie wyjeżdżać daleko, wypoczywać, że będzie mnie na to stać ... W latach 60. i 70. człowiek myślał zupełnie innymi kategoriami. A teraz, gdy już czas odpocząć, to ja dalej pracuję ...

Przygotowana przez nas publikacja nosi nazwę „Recz. W służbie!” Czy słowa „w służbie” może Pani odnieść do swojej pracy? Co może nam Pani o tym opowiedzieć?

Cała moja praca to jest służba. To jest służba zdrowia, to jest służba ludziom. Jako pielęgniarka należę do osób, które służą ludziom.

Rozmawiały:

Zofia Gryczewska i Kornelia Bożacka

O historii straży pożarnej w Reczu rozmowa z

Panem Eugeniuszem Nyklem

Jakie są Pana najwcześniejsze wspomnienia związane z Reczem? Kiedy Pan przybył do Recza?

Urodziłem się w Gminie Recz, w Żeliszewie. I tam się też wychowałem, tam chodziłem do szkoły do klas I-IV. Bo takie wtedy były. Uczył mnie jeden nauczyciel Pan Jan Salkiewicz. Potem należało wybrać – albo do Suliszewa, albo do Recza. Ja wybrałem Recz, dlatego że mój tata pracował w Fabryce Sprzętu Okrętowego, więc mógł dzieciaka podwieźć na „wuesce”, ... więc tak to było. Ja dojeżdżałem do szkoły rowerem. Wtedy zaczęła się moja historia z Reczem. To był 1967 rok.

Moim wychowawcą w szkole był Pan Roman Lis (krótko, bo jeden rok), a później Pan Kazimierz Leśniak. Takie były moje początki. Mówię o tym dlatego, że bez tych informacji nie nawiążę się do straży. W tych latach w małych miejscowościach takich jak Żeliszewo było dużo gospodarstw, wszyscy trzymali jakiś inwentarz żywy, zboże w stodołach, zboże było w stogach i tego siana było bardzo dużo. To wszystko było bardzo łatwopalne.

W Żeliszewie nie było straży pożarnej. Nie wiem, jak to bywało, ale mówiono, że to jezioro przyciąga ... często były burze. Po nich często coś się zapaliło: a to jakieś stare drzewo, a to jakiś stóg ... Często paliło się między dwoma zabudowaniami – tak jak dzisiaj ma gospodarstwo Pan Dobrodziej, wcześniej Zygmunt Tomaszewski i Zenon Dzieran. Tam często zdarzało się, że uderzył piorun. Pamiętam to jak dziś. I wtedy zebrali się rolnicy i zdecydowali o utworzeniu straży pożarnej, bo rejonowa straż była w Choszczynie – taka była wtedy struktura. Niedawno obchodziliśmy 50-lecie OSP Żeliszewo. W tej jednostce byłem długie lata, aż do przyjazdu do Recza. Byłem w strukturach straży, podobnie jak mój starszy o 2 lata brat. Tato był prezesem, a założyli to OSP rolnicy: Stefana Gołębiowski, Stanisław Gołębiowski, Feliks Wejman – ojciec biskupa i księdza profesora, Czesław Nykiel, Kazimierz Michalak, Włodzimierz Ćwiek, Józef Rajczyk ... Oni byli pionierami OSP w Żeliszewie. Byli kolegami, którzy się zrzeszyli.

Wtedy też dostaliśmy pierwszą motopompę. Tę motopompę trzymaliśmy w takim magazynie siana dla nauczyciela. Pan Salkiewicz miał taki magazyn. Opróżnił to, została zrobiona brama i tam powstała pierwsza remiza OSP. Jeśli się paliło, to kto dobiegł pierwszy należało tą motopompę na rękach zabrać i zanieść na plażę – tam, gdzie jest dzisiejsza kładka - i stamtąd węże rozprowadzało się do wioski ... zanim przyjechały inne jednostki, to wiele można było ugasić ... wiele budynków zostało uratowanych.

Pierwszym moim zdarzeniem, gdy wstąpiłem do straży, było to, gdy starsi strażacy gasili pożar słomy u p. Dzierana i p. Tomaszewskiego. Nie wszystko udało się od razu ugasić ... po prostu zabrakło już sił. Co ugasiliby cały czas się tliło. Zostawili 3 młodych chłopaków – Ryśka Gołębiewskiego, Ryśka Brzózkę i mnie ... byliśmy jako rówieśnicy w trójkę ... to co się tliło gasiliśmy do rana, co chwilę trzeba było tę słomę dogaszać. Rano, gdy przyszli pozostali strażacy, to dopiero wtedy udało się wszystko zabezpieczyć. To

były pierwsze momenty mojej służby. Miałem wtedy 15 lat.

To był Pana chrzest bojowy?

Tak. Od tego momentu często uczestniczyliśmy w gaszeniu pożarów, ale też mieliśmy spore osiągnięcia. Mój tato, jako prezes i organizator oraz naczelnik – Pan Stefan Gołębiowski wysyłali nas na różne zawody sportowo-pożarnicze. Jak już pojawiło się OSP Żeliszewo, to Recz miał ciężko ... często zamienialiśmy się miejscami – albo byliśmy na pierwszym albo na drugim miejscu – musieli się napracować, żeby z nami wygrać.

Proszę powiedzieć, ilu było wtedy strażaków w OSP Żeliszewo.

Na pewno było 12 strażaków starszych – z rocznika mojego ojca, a my – rocznik późniejszy – to było nas drugie tyle ... Trzeba powiedzieć, że wioska żyła tą strażą ... mógłbym wymienić wiele osób ... po dwóch czy trzech z rodziny, np. mój brat był strażakiem.

Po wybudowaniu przez mojego ojca domu na ulicy Kolejowej 7 przeniósłem się do Recza i przyjąłem się do tutejszej straży. Mój brat tego nie zrobił – bo pracował w Remorze, kończył szkołę ... Ja miałem blisko do remizy, mieszkalem z ojcem. Tato się przyjął od razu, bo jak zmienił miejsce zamieszkania, to od razu go chcieli – był dobrym organizatorem i dość szybko został prezesem - i ja też przyjąłem się z ojcem w tym samym roku. Ponieważ mieszkalem blisko, to brałem udział prawie we wszystkich zdarzeniach. I tak rozwijamy tę straż...

To już niedługo będzie Pan obchodził jubileusz 50 – lecia służby w straży ...

Jeżeli chodzi o to, to ja nawet nie zauważyłem. Od momentu rozpoczęcia służby minie niedługo 49 lat (wywiad przeprowadzono w 2021 r. – przyp. red.). Nie czuję się na tyle, ale rzeczywiście ...

Proszę powiedzieć czy straż pożarna jest Pana największą pasją czy niekoniecznie ... Czy po prostu przyjął to Pan jako taką swoją rzeczywistość jako młodego chłopaka?

To znaczy tak. Ja chyba jestem takim człowiekiem, który lubi coś organizować i lubi przebywać z ludźmi. I to się tak przekłada ... Straż jest mi najbliższa, dlatego że ona w moim życiu zawsze była ... bywało fajnie i



jest fajnie. Jak przyszedłem do straży, było wtedy pokolenie takich moich starszych przyjaciół, z nimi miałem najwięcej do czynienia, mimo że kolegów w moim wieku też miałem, ale bardzo się zaprzyjaźniłem z Michałem Muchą, ze Stefanem Wojciechowskim, Leonem Bylewskim, Mietkiem Sakowiczem, bo razem pracowaliśmy w Remorze ... Był też z nami Józek Cylwik, Jakubowski, Paszowski. Oni się przeplatali – część była w straży zakładowej w Remorze, a część tutaj w OSP. Z moich lat pamiętam Jurka Pietrzaka, Zbyszka Siateckiego, Ryśka Brzózkę, który też przyszedł z Żeliszewa, Krzyśka Zawarskiego, Kazia Piwowara... To lubię, jest na mojej ulicy, jest blisko ...

Kiedyś też były organizowane zabawy strażackie, ogniska, spotkania, które były jeszcze w starej strażnicy. Pamiętam to dobrze ...

A gdzie ona się mieściła?

Są dwie stare – o jednej jest informacja w kronikach, pamiętam ją jako budynek, ale nie pamiętam jako strażnicy. Ta pierwsza była naprzeciwko Baszty Choszczeńskiej. Tam potem był warsztat Pana Frankowskiego po tej strażnicy. A później została wybudowana strażnica, tam gdzie był gaz. Zostały wybudowane dwa boksy: na żuka i na stara – taką kaczkę. Nie pamiętam samej budowy, ale jak przyszedłem to już to istniało. Tam też pracowała Pani Siemienik – tam też organizowano dyskoteki. Był bufet, w którym w soboty spotykała się młodzież, a dla strażaków była to pierwsza świetlica.

Jak przyszliśmy do Recza, to mój ojciec dość szybko został prezesem – po rezygnacji poprzednika. Jemu marzyła się strażnica z prawdziwego zdarzenia. Jak Pan Kalinowski został naczelnikiem – a wtedy był taki zwyczaj, że naczelnik zostawał prezesem gminnym straży – na pierwszym spotkaniu Pan Kalinowski, który miał takie duże ambicje (zawsze mówił: „... a czemu by nie ...”) powiedział: „ładna ta wasza świetlica, ale moglibyście wybudować drugą”. Padło takie zdanie na zebraniu. Pamiętam jak powstawała ta decyzja. Niektórzy w to nie wierzyli. Decyzja tak naprawdę zapadła chyba na trzecim zebraniu. Zaproponowano, żeby wybudować budynek remizy razem z milicją, bo też nie było posterunku milicji. Był taki dylemat. I wtedy też pojawił się inny pomysł, bo bank nie miał stałej siedziby, żeby zrobić to razem z bankiem. Uważam, że to był bardzo dobry pomysł, bo mieliśmy całe finansowanie od razu. To połączenie było super, które owocuje do dziś.

Czyli ten zamysł, który obserwujemy dziś, był od początku ...

Tak. Kamień węgielny wmurowywali mój ojciec jako prezes, naczelnik miasta oraz dyrektor banku Pan Drabik.

Widzę w Pana pamiątkach, że to był rok 1987 i 1988.

Dokładnie budowa rozpoczęła się w 1986 i w trzy lata wszystko zostało zakończone. Budował to Zakład Rolny w Reczu, a dokładnie Grabowiec, bo tam był taki zakład. Kierownikiem tego zakładu był Pan Szustkowski i on to nadzorował. Stan surowy został zakończony dość szybko, natomiast centralne ogrzewanie i wykończenia strażacy robili społecznie. Robili też piece, oczywiście pod nadzorem mi-

strzów.

Czyli, można powiedzieć, że sobie strażacy sami, własnymi rękami wybudowali tą remizę.

Tak. W grupie budowlanej właśnie był mój ojciec, Pan Ślęczka, Pan Kucharczyk, także ...

Podziwiam, że Pan tak dużo osób pamięta ...

No ... tak. Ja z nimi pracowałem wiele lat. Najbardziej przykre jest to, że jak czytam kronikę, to uświadamiam sobie, że wielu z nich już z nami nie ma ... na wielu pogrzebach byłem.

A jakie wydarzenia, związane z działalnością straży najbardziej Pan pamięta? Może jakieś przełomowe wydarzenia Panu utkwiły w pamięci? Na pewno budowa remizy ...

No tak. Budowa remizy była przełomowa, bo po raz pierwszy dostaliśmy od wojewody nowe auto. Było to chyba jedno z pierwszych w powiecie. Na otwarcie remizy ... Drugim ważnym wydarzeniem było utworzenie orkiestry dętej. Ta orkiestra zagrała krótko, bo później wybuchł stan wojenny. Była to orkiestra, która rzeczywiście powstała i zagrała. Nie była to ta młodzieżowa orkiestra, to był całkiem inny zespół. To była druga orkiestra, pierwszej niestety nie pamiętam.

Były też takie wydarzenia, na które nikt nam pieniędzy nie podarował, na wszystko musieliśmy sobie sami, że tak powiem, zapracować. W soboty, po pracy mieliśmy tzw. czynny społeczny. Czynny społeczny, które oczywiście wskazywała nam gmina i która starała nam się przygotować jakieś zadanie. Pamiętam, np. karczowanie drogi od Iny do Sokolińca. I wtedy otrzymywaliśmy trochę pieniędzy na swoje potrzeby. Czynny społeczny polegał na tym, że coś zrobiliśmy, a gmina nam dawała pieniądze na sprzęt, farbę i inne rzeczy.

Pożarów było dużo. Najbardziej to pamiętam pożar w piekarni Pana Flejtra. Strzelały wtedy rurki Per-



kinsa, po remoncie pieca. Wyglądało to jakby były to materiały wybuchowe ... Chcieliśmy jak najwięcej dobytku uratować, a wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze jak gasić taki specjalistyczny sprzęt. To był długi pożar. Piekarnia została jako tako uratowana, a najważniejsze, że nie uszkodziliśmy żadnego samochodu. Dwa dni potem piekarnia dalej zaczęła funkcjonować.

Jak sobie przypominam, to najwięcej pożarów było na wsi. Często na przykład jeździ-

liśmy do Sicka ... Najgorsze było to, że strażacy nie tylko gasili... pogorzeliśka należało też rozwalić, dogasić ... to było najcięższe ... całą stodołę trzeba było wynieść i rozrzucić, bo to by się paliło nie wiadomo ile ... Często jeździło się na wioski...

Dziękuję za ten wątek, który Pan opisał ... Proszę powiedzieć, jakie najmilsze wspomnienia Pan pamięta związane ze służbą w straży pożarnej?

Wczoraj jeszcze raz sobie kilka rzeczy przypomiąłem ... spojrzałem sobie na historię straży ... Powiem jedno - tego nie można pominąć, a to wszyscy opowiadali i często to się przewijało w naszych rozmowach – że strażacy brali udział jako statyści i strażacy podczas prac do filmu „Kierunek Berlin” (polski film wojenny z 1969 roku w reż. Jerzego Passendorfera – przyp. red.). Mamy w naszej kronice zdjęcie z głównym aktorem Wojciechem Siemionem. To było ważne wydarzenie dla naszych strażaków.

Do miłych wydarzeń należy też zaliczyć zawody strażackie – otrzymywane wyróżnienia, nagrody pieniężne dla zwycięzców ... no i grochówka strażacka na koniec dnia. Na zawody strażackie przyjeżdżaliśmy tutaj do Recza z Żeliszewa. Przyjeżdżało czasami nawet 8 jednostek. Warto powiedzieć, że jednostki strażackie dzieliły się na takie dwa typy – jednostki zakładowe i jednostki ochotniczej straży pożarnej (tych było trzy: Pomień i Recz, a później Żeliszewo). Zakładowe były z Suliborza, Rybak, Lubienio-wa, Sokolińca i Nętkowa. Wszyscy razem w jednych zawodach uczestniczyliśmy.

Praca strażaków to praca ciężka, brudna ... nie mieliśmy jeszcze odpowiednich ubrań, wszystko było prywatne, jedynie buty strażackie, hełm i pas jako zabezpieczenie. Obowiązkowo pas strażacki i siekierka, czyli toporek strażacki. Teraz jest inaczej, wtedy bowiem byliśmy strażą typowo gaśniczą ... z biegiem czasu zmieniło się to w system bardziej ratowniczo-gaśniczy ...

Wracając do tematu – były wtedy fajne zabawy strażackie, które odbywały się w starej remizie i na które przychodziło się z żonami. My jako jedyna jednostka w powiecie pozostaliśmy w typowej remizie strażackiej, zarządzanej przez strażaków, chociaż z przebojami, bo kiedyś był tu klub nocny. Wynajmując ją na różnego rodzaju imprezy mamy czasem pieniądze na swoją działalność i swoje potrzeby – możemy zarobić i jeszcze inwestować ...

Kiedyś dość często wyjeżdżaliśmy na wycieczki – teraz jest ich mniej, ale wcześniej odbywały się one do Siekierok, Kołobrzegu, na Wał Pomorski ... Często kończyły się one ogniskiem z rodzinami, żonami, dziewczynami wcześniej. Były to sympatyczne chwile, które do dziś pamiętam i które staramy się kultywować. Teraz jest trudniej ... ale na przykład sylwestra sobie organizujemy. Sylwester do tanich nie należy, ale we własnym gronie sami sobie przygotowujemy. Kiedyś przychodziliśmy z koszyczkiem – każdy kto coś przyniósł stawiał na stole...

Jesteście u siebie ...

Tak jest.

No i – jak już wcześniej rozmawialiśmy – w miejscu wybudowanym własnymi rękami ...

Poprawiamy to. Wiem jak to robić, lubię to robić. Mimo, że od ponad 30-tu lat mam własną firmę, ale też dzięki temu, znajduję czas ... ciągle też jestem na miejscu, mogę coś załatwić. Dużo pomagał nam kapitan Garbicz, z którym się przyjaźniliśmy – komendant rejonowy, a później powiatowy – był nim

przez ponad 20 lat. Zawsze starał się nam pomóc. Dzięki tej współpracy mogliśmy otrzymywać nowe pojazdy... jak przyszedłem do straży był jeden Star, już wysłużony i psujący się oraz Żuk. Później zorganizowaliśmy zbiórkę na upragnionego Forda Transita. Kupiliśmy go sobie z bardzo dużym dofinansowaniem.

Zabawy organizowaliśmy w parku, loterie z fantami, zbiórki od darczyńców. Później dostawaliśmy samochody – z Komendy Miejskiej ze Szczecina dostaliśmy bardzo duży wóz z wodą, który miał pojemność 8000 litrów i 800 kg środka pianotwórczego – on był największym samochodem, to była Tatra.

Dostaliśmy też od komendy podnośnik, na którym zarabialiśmy pieniądze na inne potrzebne rzeczy. Byliśmy jak zawodowa straż ... A dzisiaj mamy Mana, nowe Volvo, no i Transita.

Dzisiaj to jest całkiem inna straż. Powiem coś takiego –



prezes to była kiedyś taka fajna społeczna praca. Dzisiaj nadal jest społeczna, bo nie jest płatna. Niektórzy w to nie wierzą... zresztą jako strażak nigdy nie korzystałem z profitów pieniężnych, zawsze to robiłem społecznie. Dzisiaj jestem prezesem jednostki, zarządu gminnego, przez 14 lat byłem prezesem powiatowym, członkiem zarządu województwa ponad 20 lat; byłem też w komisji ds. odznaczeń, członkiem sądu koleżeńskiego - tak, że jest to kawał mojego życia ...

Co do wyjazdów do zdarzeń strażacy otrzymują jedynie rekompensatę za utracony czas pracy.

Jak rozmawiamy o tym, to trzeba dodać, że dzisiaj strażacy muszą być przeszkoleni. Dlatego tak trudno ich pozyskać. Bo chęci to za mało. Dzisiaj strażak musi mieć wiedzę. Ja się na przykład bałem, jak kupowaliśmy nożyce ...

Takie hydrauliczne?

Tak. Okazało się, że jest to prawnie uregulowane – pocięcie drogiego samochodu w celu ratowania życia – firmy ubezpieczeniowe pokrywają takie koszty, a do takich zdarzeń też jeździmy. Zresztą strażacy zawsze są odpowiedzialni. Jeszcze nie trafiło się, żeby ktoś był nadgorliwy. Recz, z jednostek ochotniczych, jest najlepszą jednostką w powiecie. Teraz doszedł jeszcze Bierzwnik i Drawno, ale Recz zaw-

sze był jedną z najlepszych – w ciągu 10 do 15 minut zawsze wyjadą do pożaru! Też jako jednostka Krajowego Systemu Ratownictwa! Strażacy muszą mieć wiedzę z zakresu pierwszej pomocy przedmedycznej. Przyjeżdżając jako pierwszy, musisz udzielić pomocy, ale udzielając pomocy, musisz to umieć i pamiętać, że najpierw musisz zabezpieczyć siebie. Wiadomo – druga zasada - to nie szkodzić. Obecnie mamy 14 osób przeszkolonych w tym zakresie! To są wykwalifikowani ratownicy, którzy tego się nie powstydzą. Dlatego trudniej o ludzi, tzw. narybek, bo wielu przyszło, no i nie zostało ze względu na duże wymagania. Teraz nasi strażacy trenują też w komorze dymnej, w której nie każdy umie się zachować ... można stracić orientację, będąc w masce, z aparatem powietrznym.

Tak. Pokazywaliście taki film na facebooku ...

Ja to widziałem po raz pierwszy, będąc w Holandii, skąd otrzymaliśmy, a właściwie kupiliśmy też samochód Daf, który służy do dzisiaj – finansowany z Funduszu Ochrony Środowiska ...

Jednak te kwalifikacje, wiedza i umiejętności mają obecnie większe znaczenie niż kiedyś ...

Tak. Dzisiaj, jeśli nie ma się uprawnień strażaka, to nie może być jednostki. Na przykład OSP Żeliszewo nie jest jednostką czynną, a stowarzyszeniem, które jednak nie może być zadysponowane do jakiegoś zdarzenia. Bo dyspozycja do wyjazdu nie polega, że ktoś zadzwoni do straży. Zawsze powiadamy Komendę Państwowej Straży Pożarnej albo numer 112. I oni dysponują ... Każdy wyjazd ze strażnicy musi być zadysponowany. Nie można wyjechać wozem strażackim ze strażnicy bez zgody PSP. To oni są koordynatorem i oficer czy podoficer dyżurny kieruje zdarzeniem. Nie może on skierować jednostki, która nie ma obsady co najmniej ośmiu strażaków z uprawnieniami podstawowymi. Dzisiaj za mało takich osób z uprawnieniami jest też w Pomieniu. W Pomieniu jest jednostka jako stowarzyszenie, która posiada wóz strażacki, ale tylko siedmiu ratowników. Ale zawsze można je uzyskać.

Osobiście uważam i jako prezes gminny robię wszystko, aby jednostek było jak najwięcej. To widać nawet po tym, do czego strażacy są wykorzystywani. Do wszystkiego! Poszukiwania zaginionych – ginie ktoś na grzybach, ginie dziecko – wtedy potrzeba jak najwięcej osób. Są też inne sytuacje: jak zalania piwnic, podtopienia, powalone drzewa ... to kto to robi? Okazuje się, że strażacy! W tych sytuacjach trudnych zawsze można na nich liczyć. Oni wiedzą co zrobić!

Muszę powiedzieć też, że wraz z druhami Zdzisławem Pawlakiem udało nam się reaktywować straż w Nętkowie...

Niedawno wyremontowaną ...

Zrobiliśmy to od zera. Dzięki druhowi Pawlakowi zaczęliśmy starania, aby przy kotłowni wybudować strażnicę. Powoli udało się to zrobić. Jednostka jest w Krajowym Systemie i dostaje dofinansowanie zewnętrzne w postaci sprzętu, pieniądze na remonty. Recz, jako drugi po Choszcznie, ma dwie jednostki wpisane do Krajowego Systemu Ratownictwa.

Panie Eugeniuszu, proszę powiedzieć kilka słów o postaciach, osobach, które w największym stopniu

przyczyniły się do rozwoju straży pożarnej w gminie Recz.

Jeśli chodzi o postaci, to takim społecznikiem, duszą, która zawsze wspierała nasze działania był Pan Stanisław Komada. On zawsze się przewinie, bez niego wiele rzeczy by nie powstało. Drugą osobą był naczelnik Kalinowski, ale również naczelnik Ryszard Kławsiuć, który też był prezesem przez długie lata. To byli wykształceni ludzie, którzy byli dobrymi organizatorami i wspierali nasze działania. Był taki zwyczaj, że prezesami byli naczelnicy lub burmistrzowie. Akurat Pan Ligus nie był prezesem, ale chyba Józef Romanowski, Kalinowski, Mojecki byli prezesami. Zresztą Józef Romanowski był w młodzieżówce, prowadził - po Pani Więsko - młodzieżową straż pożarną, bo taka też zawsze była tu w Reczu. Oni wszyscy byli nam przychylni. Byli z nami i czuli się strażakami. Zawsze zakładali mundur. Trzeba dodać, że to może trochę zaskakująco wyglądało, że szef miasta też się ubiera w mundur, ale to się przyjęło. Zresztą Recz był najlepiej umundurowaną jednostką jeśli chodzi o galowe wyposażenie mundurowe ... Przemarsz przez miasto razem z orkiestrą robił wrażenie ...

Prezentować się też trzeba ...

Do dziś tak jest. Dwa sztandary uświetniały wszystkie uroczystości. Blisko jesteśmy z kościołem – tam też jesteśmy pomocni. Każdy, kto był w mieście, starał się być straży przychylny.

A proszę powiedzieć o najtrudniejszych chwilach, trudnych wspomnieniach ...

Powiem tak. Prezes jednostki jest szefem firmy. A więc musi zapewnić wszystkie szkolenia, ubrania, środki ochrony osobistej ... one były potrzebne, a wtedy ich nie było. Teraz jesteśmy też tego bardziej świadomi niż kiedyś. Teraz są na to pieniądze. Strażacy są doposażeni. Było wiele trudnych momentów, do niektórych nie warto wracać. Ale przetrwaliśmy je i nie poróżniliśmy się.

Dużym pożarem był pożar stolarni Pana Piekarskiego, na pewno dzięki Steyerowi (wóz bojowy - przyp. red.) została ona uratowana, bo wtedy potrzeba było dużo wody do ugaszenia tego pożaru. To też była trudna sytuacja.

Jakie są Pana marzenia czy oczekiwania związane ze strażą pożarną?

Marzeń zawsze jest dużo. Ale trzeba też mierzyć siły na zamiary. Po pierwsze w tym roku będą wybory (wywiad przeprowadzono w 2021 roku – przyp. red.). Jeśli by się udało, a nawet jeśli się nie udało, to mam na tyle siły i możliwości, gdyż piastuję różne funkcje publiczne, które pomagają, a nie przeszkadzają, to dokończyć inwestycje w remizie w Reczu. Bo ona jest trochę podstarzała ze względu na to, że budowana była w innej technologii niż obecnie. W ubiegłym roku zrobiliśmy dach, zrobiliśmy też wszystkie bramy, wyremontowaliśmy strażnicę. Mamy ładne samochody, które się pięknie prezentują. Zrobiliśmy klimatyzację z funkcją grzania. Złożyliśmy wniosek o dofinansowanie nowej posadzki. To - jakby to się udało i wymiana reszty okien na plastikowe oraz fotowoltaika – polepszy jakość funkcjonowania remizy. Może uda się zrobić podobnie jak w Drawnie, że znajdzie się osoba, która pełniłaby funkcję skarbnika i komendanta gminnego. Na razie się to nie udało. Mamy pięknie zrobione biuro,

które strażacy też sami zrobili. Taki człowiek, gdyby się znalazł, to jest marzenie. A co jest przyjemnego w straży, to pozwolę sobie powiedzieć, że odznaczenia.

No tak, nie powiedzieliśmy o tym, a to jest ważna część waszej działalności.

Za strażackie osiągnięcia czy służbę się wynagradza. Kiedyś były to młodzięzowe odznaki za Pana Romanowskiego czy Pani Więsko. Ja na przykład zacząłem od wzorowego strażaka. Jeśli ktoś nie ma wzorowego strażaka, to raczej nie był czynnym strażakiem. Bo nie można dostać następnego wyróżnienia bez tego podstawowego. Następnie jest brązowy, srebrny i złoty medal za zasługi dla pożarnictwa. Miedzy jednym a drugim, a że byłem w Komisji ds. Odznaczeń Województwa Zachodniopomorskiego to wiem, jest 5 lat. Czyli, żeby dostać złoty medal to trzeba mieć 20 lat służby.



To jednak trochę doświadczenia trzeba mieć.

Kolejnym odznaczeniem, już takim bardzo prestiżowym, jest Medal im. Bolesława Chomicza. Ja mam wszystkie odznaczenia strażackie, a więc gdzieś tam po drodze byłem

doceniany. Posiadam też Złoty Znak Związku – to jest najwyższe odznaczenie strażackie, które się nosi na krawacie, pod koszulą. Jest bardzo ładne. Wszyscy, zwłaszcza zawodowi strażacy, marzą o takim wyróżnieniu. Zostałem też odznaczony Medalem Honorowym im. Józefa Tulickowskiego, ale to jest odznaczenie wyłącznie dla strażaków zawodowych. Odznaczony zostałem też przez Klub Generalski, przez Prezydenta Kaczyńskiego Brązowym Krzyżem Zasługi. Również przez Państwową Straż Pożarną byłem odznaczany odznaką pn. W Służbie Ojczyzny. Również medalem Zasłużony dla Województwa Zachodniopomorskiego. Odznaczeń mam wiele i to jest miłe, gdy ktoś doceni twoje społeczne zaangażowanie. Zresztą medale muszą być odpowiednio noszone – nie wolno medali nosić do brudnego munduru, one zobowiązują. Jak są święta strażackie, to ten mundur noszę, dumnie go noszę i się go nie wstydę.

Wracając jeszcze do osób zasłużonych dla OSP Recz, to należy wymienić Michała Muchę. To był jedyny człowiek z Recza, który był w Zarządzie Głównym w Warszawie. On też był doceniany za swoją działal-

ność.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o ważnym wydarzeniu, które miało miejsce w Reczu z okazji 50-lecia straży. I wtedy w Reczu gościliśmy Prezesa Zarządu Głównego Premiera Waldemara Pawlaka. Odznaczył wtedy naszą jednostkę i sztandar. Pamiętam, że wtedy został uhonorowany mój ojciec Złotym Zna-



kiem Związku. To dla nas wszystkich, całego OSP Recz, była miła chwila. 10 lat później, na 60-lecie, przyjechał generał Korzeniewski, który powiedział wtedy, że cieszy go to, że w Reczu jest jednostka OSP, która włączona jest do Krajowego Systemu Ratownictwa. Kiedyś, że tak powiem - za moich czasów, te święta strażackie były bardzo dobrze organizowane, bywało nawet ponad 250 osób, oprócz strażaków. I zawsze powiatowe święto odbywało się w innej gminie. Były wtedy reprezentowane wszystkie służby: przez służby więzienne, wojsko, sąd, urząd pracy, starostwo powiatowe, lasy państwowe ... Zawsze frekwencja była wysoka. Tych fajnych wydarzeń było sporo.

Rozmawiał
Maciej Gryczewski

O pracy w Urzędzie Stanu Cywilnego opowiada Pani Henryka Kawecka

Do Recza przyjechałam w 1974 roku. Mąż mój został skierowany na Komendanta Posterunku w Reczu. Mnie zaproponowano pracę w Urzędzie Miasta i Gminy na stanowisku Kierownika Urzędu Stanu Cywilnego. Pracę podjęłam 1 marca 1974 roku i pracowałam do 1 października 2007 roku. Naczelnikiem Urzędu Miasta i Gminy był Pan Ryszard Kłwasiuć, sekretarzem Pan Czesław Więsko. Następnie Naczelnikiem został Pan Tadeusz Kalinowski, a sekretarzem Pan Roman Babiak. Bardzo dobrze mi się z nimi współpracowało.

Praca w Urzędzie Stanu Cywilnego polegała na udzielaniu zawarcia związku małżeńskiego, rejestracji urodzeń, małżeństw i zgonów. Organizowaniu różnych uroczystości, tj. przyjęcia dzieci do społeczności miasta, uroczystego nadania imienia dziecku, uroczyste wręczenie pierwszych dowodów osobistych, uroczystości długoletniego pożycia małżeńskiego (25-lecia, 50-lecia, srebrne i złote gody), 100-lecia urodzin. Oprócz tego prowadziłam obronę cywilną, ewidencję ludności, wydawałam dowody osobiste oraz dodatkowe czynności polecane przez przełożonych.

Z chwilą wprowadzenia konkordatu współpracowałam też z miejscowym proboszczem. Przyjmowałam również testamenty (ostatnią wolę), oświadczenia o uznaniu dziecka, świadczenia o zmianie imion i nazwiska. Prowadziłam wszelkie adnotacje w księgach o uznaniu, przysposobieniu, ustaleniu ojcostwa, o rozwiązaniu związku małżeńskiego, itd. Sporządzałam spisy wyborców, spisy ludności ...

Swoją pracę bardzo lubiłam i szanowałam, dawało mi to dużą satysfakcję. Swoją pracą pomagałam społeczeństwu Recza i ludziom z zewnątrz, co sprzyjało mojemu poczuciu obowiązku.

Do najmiłszych wspomnień należało organizowanie uroczystości długoletniego pożycia małżeńskiego – srebrne i złote gody, 100-lecia urodzin, zawarcia związku małżeńskiego, itp.

Za wykonywaną pracę otrzymywałam nagrody finansowe, byłam odznaczana brązowym i srebrnym Krzyżem Zasługi i podziękowaniami.

Najbardziej wspominam Naczelnika Miasta i Gminy Pana Tadeusza Kalinowskiego, sekretarza Pana Romana Babiaka, dyrektora Remoru Pana Stanisława Komadę, dyrektora szkoły Pana Adolfa Długosza. Współpracowałam również z sekcjami socjalnymi poszczególnych zakładów pracy (FSO Remor, GS, PGR, szkoła, Spółdzielnia Produkcyjna Sicko i Pamięcin).

Trudnościami były skromne finanse urzędnicze z Urzędu Wojewódzkiego, które sływały do

Urzędu Miasta. Dodatkowo trzeba było składać dużo wniosków i projektów na otrzymanie tych środków.

Najbardziej dotknęło mnie zlikwidowanie sali reprezentacyjnej (sali ślubów) podczas mojej nieobecności przez Burmistrza Pana Zbigniewa Ligusa. Z sali małżeństw zrobiono biuro dla budowlanców, a śluby przeniesiono do sali posiedzeń, gdzie brak było warunków, nastroju i powagi.

Marzeń związanych z byłą pracą już nie mam, bo jestem na emeryturze, ale żeby jeszcze czuć się potrzebnym, to obecnie należę do Koła Emerytów i Rencistów, klubu Senior Plus oraz zespołu śpiewaczego „Reczanie”.

Tak, moja praca to służba, gdyż pracowałam jako Kierownik w nienormowanym czasie pracy. Organizowane przez mnie uroczystości były wykonywane poza godzinami pracy, w dniu wolne od pracy, tj. soboty, niedziele i święta. Miałam mniej czasu dla rodziny.

Henryka Kawecka

O pracy telefonistki i urzędu pocztowego opowiadają Panie Władysława Krajewska i Janina Suzos

Mieszkam w Reczu od urodzenia, tj. od 1953 roku. Tutaj spędziłam dzieciństwo, uczęszczałam do szkoły podstawowej. Bardzo ciepło wspominam tamte czasy. Wspaniałych nauczycieli, koleżanki i kolegów ze szkolnej ławy. Wielu z nich już nie ma wśród nas.

W roku 1975 podjęłam pracę w Obwodowym Urzędzie Poczto-Telekomunikacyjnym z oddziałem w Reczu jako telefonistka. Pierwsze wrażenie, jak zobaczyłam centralę telefoniczną – czy ja sobie poradzę? Dużo zawdzięczam Pani Kazi Budzińskiej, że tak wspaniale mnie nauczyła dość trudnej pracy telefonistki. W tamtych czasach trzeba było długo na sznurach telefonicznych „wisieć”, aby uzyskać żądane połączenie. Ciekawa była ta praca, wspaniała załoga z bardzo sympatycznym Panem Naczelnikiem Józefem Górnym. Wspomnę tu jeszcze Panią Danusię Kociubę – panią przyjmującą w okienku kasowym. Listonoszy – Panią Iżę Kubacką, Halinę Szpak, Pana Józefa Bachurskiego, Panią Zosię Lewandowską.

Chciałabym też wspomnieć pana Dyrektora naszej szkoły Adolfa Długosza i jego żonę Marię. Wspaniali ludzie! Trudne były czasy, ale można było liczyć na ich zrozumienie i troskę.

Mam takie małe marzenie, żeby wrócić w tamte czasy, zobaczyć jak nasze dzieci poradziłyby sobie bez komórek, komputerów. Takich rzeczy nie było. Liczyło się na liczydłach.

Moja praca, to oczywiście była służba! Każdego dnia służyliśmy naszym mieszkańcom, żeby przesyłki dostarczyć na czas, czy w krótkim czasie uzyskać połączenie z Warszawą czy Szczecinem. Dziś każdy ma telefon i jest niezależny. W tamtych czasach sieć telefoniczna była bardzo skromna. Mieszkańcy przychodzili do Urzędu, aby zamówić rozmowę międzymiastową, niekiedy spędzali pół dnia, żeby uzyskać połączenie.

Warto jeszcze wspomnieć o ciężkiej pracy naszych listonoszy. Od poniedziałku do soboty wsiadali na swoje motocykle i jechali w teren. Nie zważając na warunki atmosferyczne, służyli naszym mieszkańcom. Wielki szacunek im się należy.



Władysława Krajewska

Centrala telefoniczna nie była duża, około 100 numerów. Telefony posiadały przeważnie instytucje. Prywatnych numerów było mało. Dopiero w latach 80-tych przybyło więcej numerów prywatnych. Praca była na trzy zmiany, w niedziele i święta również.

Praca w centrali polegała na łączeniu rozmów telefonicznych, nadawaniu i przyjmowaniu telegramów. Rozmowy łączone były za pomocą sznurów. Rozmowy telefoniczne dzieliły się na miejscowe, międzymiastowe i międzynarodowe.

Problemy związane z połączeniami spowodowane były brakiem wystarczających łączy. Wszystko odbywało się łączeniem ręcznym – wyciągało się z centrali odpowiedni sznur i wkładało do odpowiedniego wejścia. Długie czekanie na rozmowy było bardzo stresujące i dla zamawiającego i dla pracującej telefonistki, gdyż ona również te rozmowy zamawiała w Choszcznie lub Stargardzie i musiała na nie czekać.

Z czasem centrala w Reczu się powiększała, przybywało więcej łączy i więcej ludzi mogło mieć w domu swój aparat telefoniczny. Potem pojawiły się automatyczne centrale, aparaty z tarczą i każdy mógł wybierać sam numer sąsiada lub rozmowę ze Szczecinem. Z każdym rokiem było łatwiej z połączeniami bez udziału telefonistki.

Pod koniec lat 90. centrala w Reczu została zlikwidowana. Ja również zakończyłam pracę na międzymiastowej w Reczu. Potem przez krótki czas pracowałam jeszcze przy okienku w Urzędzie Pocztowym w Reczu. Nadal mogłam przyjmować i łączyć rozmowy, ale tylko te zamówione na miejscu, na poczcie w rozmównicy.

Jeśli chodzi o telegramy, na przykład z życzeniami imieninowymi, ślubnymi, to można je było też nadawać telefonicznie. Moim zadaniem było przyjąć wiadomość od abonenta, następnie odtelegrafować do telegrafu w Choszcznie lub odebrać wiadomość z telegrafu z Choszczna i w postaci ozdobnej kartki doręczyciel, czyli listonosz dostarczał wiadomość do adresata. Telegramy z ważnymi wiadomościami, czasami smutnymi, były doręczane na zwykłych blankietach. Taki telegram można było też przekazać telefonicznie, jeśli ktoś miał telefon w domu.

Janina Suzos

O funkcjonowaniu apteki rozmowa z Panią Dorotą Mazurek

Jakie są Pani najwcześniejsze wspomnienia związane z Reczem? Jak to wyglądało, gdy Pani tu przyjechała?

Przyjechałam tutaj 26 września 1979 roku, pamiętam jak dziś. Zaskoczyło mnie to, że Recz to takie małe, myślałam na początku, że wioska, miasteczko. Zanedbane niesamowicie. Kostka brukowa, ścieki płynące ulicami, na ulicy Tylnej nie było jeszcze wodociągów. Ulica Środkowa wyglądała trochę jak po wojnie – tylko bloki pegeerowskie stały. Takie miałam wrażenie, że jeszcze w tych latach wszystko było nie do końca zrobione jak trzeba. Uderzyło mnie też to – ponieważ ja z Gryfic przyjechałam – że w sklepach było bardzo drogo. W Gryficach – 20-tysięcznym miasteczku – było wtedy dużo taniej. Pamiętam z tego okresu jeszcze tylko księgarnię Pani Bożyczko, a ponieważ wszyscy byliśmy miłośnikami książek, to ta znajomość była jedną z pierwszych; tam się zapisywaliśmy na encyklopedię. To właśnie moje pierwsze wspomnienia. Ten ryneček był zaniedbany, Dom Kultury już był, ale jakiś taki odrapany – teraz wygląda lepiej niż wtedy, gdy tu przyjechałam. Tak myślałam – parę domków ... co to za miasteczko?

A jeśli chodzi o Pani przyjazd, to on był spowodowany pracą?

Tak, pracą. Znajoma, która tutaj pracowała, namówiła mnie. Miałam małe dzieci, które – tak myślałam wtedy - będzie można też spokojnie wychowywać, pracy jest niewiele, więc ... zdecydowałam się.

Czyli ten 1979 rok jest rokiem, kiedy od razu rozpoczęła Pani pracę?

Od razu. 26 września przyjechałam, a dzień później już rozpoczęłam pracę. Mieszkałam w małym mieszkaniu, ale było też pomieszczenie, tzw. dyżurka. Budynek był dosyć dobrze urządzony. Został oddany w 1967 roku. Było fajnie, chociaż przeraził mnie ogródek, ponieważ ja nie bardzo lubię się zajmować ogrodem ...

A jeśli chodzi o taką typową pracę w aptece?

Jak ja zaczynałam pracę, to właściwie wszystko robiłam, bo na przykład w Gryficach, gdzie pracowałam wcześniej, magister stał za stołem, kierownik zamawiał wszystkie materiały, a magistra interesowały tylko recepty, receptury i wyrabianie leków, natomiast tutaj trzeba było i pilnować zamówień, i robić wszystkie inne rzeczy. Z tym, że tutaj, w takiej małej miejscowości, ludzie bardziej przychodzili po porady: „co zrobić, bo gorączka, bo boli” ... było to częste.

Można powiedzieć, że pełniła Pani wtedy też rolę lekarza pierwszego kontaktu ...

Tak. Bardzo często. I rano, po południu i w nocy. Trzeba było się starać o towar, trzeba było wszystkie prace księgowe wykonać ... na papierze, liczydłem, bo nie było kalkulatorów. Dopiero jak później były kalkulatory, to było trochę łatwiej. Nauczyłam się liczyć na liczydłach.

A potem trzeba było sprywatyzować tę aptekę, ponieważ naciskała centrala z Zielonej Góry, że są chęt-

ni, że z Niemiec przyjadą i kupią, że nie przynosi dochodów. W końcu się zgodziłam. To było w 1991 roku.

Rozumiem, że nie była Pani przekonana ...

Ja nie. Nie chciałam tego przejmować, bo było z tym związanych za dużo kłopotów i spraw. Potem gmina od nas brała niesamowite pieniądze ... To środek miasta, więc spory był czynsz. W końcu wzięliśmy kredyt, żeby to wykupić i zamiast czynszu spłacaliśmy raty.

To musiał być wtedy trudny czas ...

Bardzo trudny, ponieważ należeliśmy wtedy jeszcze pod ZOZ w Choszcznie. Trzeba było pożyczki brać, żeby zapłacić za leki, żeby dostać następne, bo tak to wyglądało. To był naprawdę ciężki okres – spłacałam chyba cztery albo pięć pożyczek, a procenty były ogromne. Dla nas to był okres trudny i ciężki.

Ale poradziliście sobie.

Jakoś poradziliśmy, ale oszczędności nie było najmniejszych.

Zatem mimo że taka apteka powinna być w takiej miejscowości, to jednak jej funkcjonowanie wcale nie było takie łatwe ...

Nie było to łatwe. Pieniądzy brakowało, ale to nie tylko u nas. Wszędzie tak było, każda apteka z podobnymi problemami się borykała. Dopiero w 1998 albo 1999 roku trochę się poprawiło. Trochę było lżej. Już były kasy chorych, które przejęły płatności ...

Czyli ta pierwsza dekada lat 90. była najgorsza.

No tak. Chociaż potem też w dalszym ciągu było mnóstwo leków bezpłatnych, więc zarobek był niewielki.

A proszę wytłumaczyć ... Mówiła Pani, że apteka podlegała pod Zieloną Górę ...

To był CEFARM Zielona Góra.

I to była instytucja zarządzająca aptekami w danym regionie?

Tak. A my wtedy należeliśmy do województwa gorzowskiego. Jeździłam – jako kierownik apteki - na zebrania do Zielonej Góry. Od 1999 roku zaczęliśmy podlegać po szczeciński FARMAKOL.

A proszę powiedzieć, jakie były najmiłsze wspomnienia związane z Pani pracą?

Najmiłsze wspomnienia jako szefa? Mi to sprawiało przyjemność jak przychodzili ludzie i prosili o poradę. Żeby im pomóc, żeby się lepiej poczuli. A potem przychodzili i dziękowali. To było takie najmiłsze w mojej pracy. Ja sobie zdawałam sprawę, że farmaceuta to nie lekarz, który może zbadać człowieka. Również ludzie przychodzili, żeby im wytłumaczyć z łaciny diagnozy lekarskie na dokumentach ze szpitala. Wtedy jeszcze pamiętałam dużo z łaciny, więc mogłam pomóc.

Łaciny Pani się uczyła na studiach?

Tak, i w szkole średniej. Na studiach przez rok, zwłaszcza terminów lekarskich. Takich osób, którym tłumaczyłam te dokumenty, było bardzo dużo. Nie musiałam, ale ... chciałam. To są najmiłsze wspo-

mnienia, nie mówiąc oczywiście o jakiś spotkaniach towarzyskich.

Dodam jeszcze, że studia na farmacji były bardzo trudne. Pamiętam, że zaczęło nas 140 osób, a skończyło tylko 45 osób. Strasznie długie ćwiczenia, laboratoria. Studia kończyłam w Poznaniu.

Jeszcze wspomnę, że jak byliśmy pod Zieloną Górą, to towary przychodziły tylko raz na miesiąc. To było straszne, bo nie wszystkie leki były dostępne, a ponieważ było daleko, to nawet leki zamawiane na cito też nie były dostępne od razu.

A jak sobie wtedy radziliście? Trzeba było czekać na kolejną dostawę?



Nie, radziliśmy sobie w inny sposób. Wsyłało się ludzi do Choszczna lub Stargardu. Dodatkowymi trudnościami były braki w zaopatrzeniu. Od początku. Do dziś pamiętam te kolejki, stali ludzie po opatrunki, po watę ... to było coś straszego. To były przykre wspomnienia, bo ludzie mieli pretensje, pytali: „dlaczego?”. Wszystko schodziło w dwie godziny. Te braki z lekami ciągną się właściwie do dzisiaj. To jest dosyć przykre, bo co chwilę nie ma czegoś ...

Proszę powiedzieć czy Pani pracowała tutaj sama?

Nie. Była Pani Ania Witek i jeszcze sprzątaczką, a później nie zgodzono się na sprzątaczkę. To też było przykre, gdy trzeba było kogoś zwolnić. Potem trochę pomagał mi mój mąż.

A czy były jakieś przełomowe wydarzenia związane z funkcjonowaniem apteki, oprócz oczywiście

tych, o których Pani mówiła, czyli przejmowania apteki ...

Pamiętam Czarnobyl. Jakoś dziwnie pamiętam ten okres, bo wtedy siedzieliśmy cały dzień w aptece, nie wychodziło się, robiliśmy ten płyn lugola na okrągło. Zanosiliśmy go do przychodni i tam był rozdawany. Były to całe godziny! Jakoś mi to utkwiło w pamięci. My nie wypiliśmy tego płynu, bo ciągle było za mało tego jodku, żeby to robić. Było to przygotowywane głównie dla dzieci.

Czyli wszystko wy to robiłyście ... tu na miejscu?

My robiłyśmy, a w przychodni było to rozdzielane. Dzieci szły do przychodni. To się robiło w takich ogromnych butlach, destylowało się wodę i robiło się ten płyn. Pamiętam, że przywieźli nam ten jodek potasu i robiliśmy go do samego wieczora. Właściwie to był jeden cały dzień, dopóki starczyło nam substancji. Wiem, że nie wszyscy dorośli to dostali.

Pani Doroto, proszę wymienić osoby związane z pracą w aptece, postaci, które z Panią współpracowały?

Ja wspominałam bardzo miło Państwa Kempisty, którzy przyjęli mnie bardzo życzliwie i wspierali mnie. Poza tym państwo Kozinowie, którzy pracowali w przychodni. To były bardzo życzliwe osoby. A ponieważ byłam tutaj sama przez trzy miesiące – dopiero potem przyjechały moje dzieci i mąż – więc to wsparcie było dla mnie ważne. Jak czegoś nie wiedziałam, to zawsze mi pomagali. Wtedy lekarzami byli też Państwo Kropiowscy, z którymi współpraca też dosyć dobrze się układała. Dzwonili jak czegoś potrzebowali, ja do nich dzwoniłam ...

A jeśli chodzi o inne osoby, które niekoniecznie były związane ze służbą zdrowia?

Wspominam bardzo miło Państwa Ligusów. Zналиśmy się dobrze, czasami mnie odwiedzali. Wydaje mi się, że za ich czasów Recz się jakoś bardziej rozwinął, pamiętam na przykład imprezy „Na Kupieckim Szlaku”, te wszystkie przedstawienia bardzo mi się podobały. Coś się działo wtedy w Reczu. Wówczas powstało Towarzystwo Miłośników Recza, do którego też mój mąż należał. Ja nie należałam, bo pracowałam w aptece od rana do wieczora, i od wieczora do rana czasami.

Wiem też, że często spotykaliście się z księdzem Stodkowskim ...

Tak. Bywał u nas dość często. Muszę powiedzieć, że miał bardzo dużą wiedzę humanistyczną, ale nie tylko, naprawdę ogromną. Opowiadał mnóstwo rzeczy o czasach powojennych, jak go do wojska zaciągali, o PRL-u, o tym jak musiał się opierać ubecji. Bardzo fajnie nam się zawsze rozmawiało. Człowiek o szerokiej wiedzy, których rzadko się spotyka. Lubił bardzo historię. Namawiałam go, żeby napisał książkę, ale niestety nie zdążył.

Proszę powiedzieć – apteka zawsze była otwarta w tych godzinach jak teraz?

Właściwie tak - od 7.30, chociaż była przerwa, której ja nie miałam, bo wtedy też ludzie przychodzili z receptami. Te pierwsze lata były dla mnie wariackie, ponieważ tutaj obowiązywało tzw. pogotowie pracy, kiedy ktoś potrzebuje gwałtownie leków. Wówczas nitrogliceryna była takim podstawowym lekiem, ewentualnie jakiś antybiotyk. Ludzie to wykorzystywali – do 17 było bardzo mało ludzi, a jak

zamykałam aptekę, to wtedy przychodziło wiele osób. Czasami nawet w nocy, wigilie. Jakoś tak się ludzie przyzwyczaili, ale niekiedy rzeczywiście potrzebowali leku. Była to taka wigilijna tradycja, trochę kłopotliwa, nie powiem ... Teraz bardzo dużo ludzi przychodzi do apteki. W Reczu są obecnie dwie i jakoś funkcjonują, czyli jest zapotrzebowanie.

A jakie ma Pani marzenia albo oczekiwania związane z apteką?

Pewnie, że mam marzenie. Żeby zostały dziewczyny i prowadziły dalej tę aptekę, ale też muszą znaleźć osobę, która jest magistrem farmacji.

A proszę powiedzieć czy Pani zawsze chciała pracować w aptece?

Nie. Chciałam być lekarzem, ale tak się losy potoczyły, że skończyłam farmację.

Długo już Pani prowadzi tę aptekę ...

Tak. Ponad 40 lat. Póki jeszcze mogę, póki mam siły, to jeszcze coś tam robię.

Proszę powiedzieć, czy w budynku apteki zachodziły jakieś zmiany?

To znaczy pomieszczenia, w których się robi leki wyglądają inaczej, ale cały budynek się nie zmienił.

A jeśli chodzi o wyrób leków ...

Część leków zamawianych była gotowa, ale te recepturowe trzeba było często robić, nawet pasty do zębów były robione. Robiło się mnóstwo roztworów, rywanolu do odkażania, wodę utlenioną, maści, proszki ... Teraz jest wszystko gotowe. Robimy w dalszym ciągu właściwie tylko maści, czasem proszki. Trochę taki sklep się z apteki zrobił, inaczej niż kiedyś.

Pani praca jest bardzo odpowiedzialna, która ma pacjentom służyć. Nie ma Pani obaw z tym związanych? Czy pomyłki mogą się zdarzyć?

Można powiedzieć, że jest to służba mieszkańcom. A jeśli chodzi o drugą sprawę, to oczywiście pomyłki mogą się zdarzyć, ale akurat nam się nigdy to nie zdarzyło. Kiedyś, żeby jakichś pomyłek uniknąć, trzeba było dzwonić do lekarza i upewniać się, zwłaszcza jeśli leki były robione z substancji trudnych i skomplikowanych oraz gdy były to leki silnie działające. Teraz wszystko jest niemal gotowe. W poprzedniej pracy - w Gryficach - robiłam mnóstwo leków, więc byłam zaprawiona w boju, nie miałam obaw.

Dla Pani trudnym momentem był również okres, gdy powstawała ta druga apteka ...

Dla nas jest to sukces, że udało nam się utrzymać naszą aptekę. Teraz jesteśmy w trójkę i ja też trochę pomagam.

Rozmawiał

Maciej Gryczewski

O harcerstwie w gminie Recz opowiada Pani Helena Więsko

Związek Harcerstwa Polskiego jest organizacją apolityczną, niezależną od partii i ruchów politycznych. ZHP funkcjonuje w określonej rzeczywistości politycznej, ale nie angażuje się w nią jako strona. Jest dla wszystkich, którzy chcą podjąć trud związany z kształtowaniem charakterów, ale i przeżyć z przyrodą.

Harcerski Krzyż jest odznaką członków ZHP, którzy złożyli przyrzeczenie harcerskie. Wzorowany jest na Orderze Wojennym Virtutti Militari. Krzyż nakłada na wszystkich harcerzy bycie dzielnym. Symboliką Krzyża Harcerskiego jest krąg, który jest symbolem doskonałości, do której dąży każdy harcerz. Symbolizuje harcerski krąg, gdzie panują braterskie relacje i wszyscy są równi. Jest trwale związany z dziejami harcerstwa. Krzyże funkcjonowały i towarzyszyły harcerstwu wszędzie tam, gdzie harcerze organizowali się do działania.

W połowie lat 60. został ufundowany Szkole Podstawowej w Reczu Sztandar Harcerski, który uświetniał wszystkie ważniejsze uroczystości zarówno harcerskie jak i szkolne. Umieszczony był na honorowym miejscu, aż do 1 września 1997 roku.

Wtedy ufundowano Sztandar Szkoły z okazji oddania do użytku nowego budynku dydaktycznego. Po latach Sztandar Harcerski przeniesiono do szkolnej sali muzealnej.

Moja praca w harcerstwie rozpoczęła się we wrześniu 1962 roku. Prowadziłam drużynę koedukacyjną w siedmioklasowej wiejskiej szkole.

W Reczu zamieszkałam i rozpoczęłam pracę w szkole 1 września 1966 roku, od tego roku do 1988 czynnie uczestniczyłam w życiu harcerstwa. Przez dwa pierwsze lata prowadziłam drużynę dziewcząt, przez następne dwa-



dzieścia Młodzieżową Drużynę Pożarniczą. Drużyna działała prężnie, druhowie mieli w bardzo dobrym stopniu opanowaną technikę posługiwania się sprzętem. Reprezentowali szkołę na zawodach sportowo-pożarniczych na szczeblu gminy, powiatu i województwa. (np. w Słubicach w 1986 roku). Praktyczne umiejętności posługiwania się sprzętem pożarniczym druhowie nabyli dzięki zaangażowaniu strażaków z OSP Recz. W latach 70. w szkole w Reczu funkcjonowało 9 drużyn: 4 zuchowe i 5 harcerskich. Drużyny zuchowe prowadziły drużny: Lucyna Packań, Krystyna Wojtuszek, Zofia Maik i Daniela Glińska. Harcerskie, koedukacyjne: Daniela Górna, Irena Sorokulska od 1982 roku, drużynę dziewcząt drużna Maria Adamiec. Młodzieżową Pożarniczą Helena Więsko, Młodzieżową Ruchu Drogowego – Irena Cylwik. W każdej dwuklasowej szkole w gminie prowadzone były drużyny zuchowe i harcerskie.

Na przełomie lat 60. i 70. wyposażenie harcerstwa w Reczu w sprzęt było skromne. Nie pozwalało to na samodzielne organizowanie obozów. Przełom nastąpił w 1975 roku, dzięki ogromnemu zaangażowaniu w sprawę Dyrektora Kombinatów Zakładów Rolnych w Reczu Pana Czesława Sarna. To dzięki temu Panu zakupiono i przekazano harcerstwu w Reczu do użytku sprzęt i całe wyposażenie dla 70 osób. Był to mój największy sukces w pracy na rzecz harcerstwa. Od tej pory mogliśmy bez problemu samodzielnie organizować obozy, na których wypoczywali harcerze z Recza i sąsiednich szkół. Miejscem obozów było Jezioro Pańskie i Miedzybórz. Mieliśmy sprzęt, mieliśmy przygotowaną kadrę i bardzo dobrą współpracę z Jednostką Wojskową w Cybowie, którą reprezentował w kontaktach z dowództwem chorąży Pan Zenon Adamiec. Żołnierze pod nadzorem chorążego rozbijali obozy, dostarczali kuchnię wojskową i zapewniali jej obsługę – kucharza.

Misją ZHP jest wychowanie młodego człowieka, wspieranie go we wszechstronnym rozwoju i kształtowanie charakteru poprzez stawianie wyzwań. Takie możliwości stwarzało uczestnictwo w obozach, biwakach, stanicach i nieobozowej akcji letniej w miejscu zamieszkania. Ta ostatnia forma wypoczynku była w Reczu popularna i cieszyła się powodzeniem.

Baza mieściła się przy ul. Tylnej, pod gruszą na 100 m kw. powierzchni. Uczestnikami były dzieci w wieku od 7 do 15 lat. Trwała ona od lipca do sierpnia każdego roku. W pracę zaangażowane były głównie dwie drużyny: M. Adamiec i H. Więsko. Ta forma wypoczynku w zasadzie nie powodowała kosztów, wyżywienie pochodziło od sponsorów. Latem 1974 roku niespodziewanie z wizytą przyjechali goście z Komendy Głównej ZHP i Komendy Hufca w Choszczynie. Ocena pracy była wysoka, w nagrodę jeden zastęp (10 osób) i drużynowy pojechali we wrześniu na zlot do Warszawy.



W tamtym czasie z harcerstwem w Reczu, oprócz wcześniej wymienionych osób, blisko związani byli: dyrektor szkoły z racji pełnienia funkcji, dyrektor Fabryki Remor Pan Stanisław Komada, komendant OSP w Reczu Pan Michał Mucha, członek Zarządu OSP Pan Mieczysław Sakowicz, który odpowiadał za zajęcia bojowe drużyny.

W każdej pracy, oprócz sukcesów, są także trudności. Takie też miały miejsce w pracy harcerskiej. Największą był brak bazy do przechowywania sprzętu. Częsta zmiana lokum niekorzystnie wpływała na utrzymanie go w dobrym stanie. Po roku 1990 w przeważającej części sprzęt przejęła Komenda Hufca w Choszczynie. Baza obozowa Hufca była w Pobierowie. Z racji przejętego sprzętu nasi harcerze mogli uczestniczyć w ich turnusach. Z każdym rokiem słabła ranga harcerstwa, malało zaangażowanie ze strony dzieci, młodzieży i osób dorosłych. W końcu harcerstwo w szkole przestało istnieć. Najdłużej pracowała Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza, którą w ostatnich latach prowadził Pan Józef Romanowski.

Realizacja służby w ZHP wynika z odpowiedzialności za indywidualny rozwój naszych zuchów i harcerzy, szacunku do innych i świata przyrody. „Służba” realizowana była w następujący sposób:

Realizacja służby w ZHP wynika z odpowiedzialności za indywidualny rozwój naszych zuchów i harcerzy, szacunku do innych i świata przyrody. „Służba” realizowana była w następujący sposób:



Drużyna Pożarnicza:

- druhowie poznawali tajniki pracy i zadania dorosłych strażaków,
- przeprowadzali pogadanki w klasach w zakresie wiedzy POŻ.
- pomagali w przeprowadzaniu konkursów z zakresu

wiedzy pożarniczej,

- uczyli się współpracy i odpowiedzialności za współtowarzyszy w ćwiczeniach bojowych.

Drużyna Ruchu Drogowego:

- druhowie wdrażali się w tajniki kodeksu drogowego, pomagali im w tym dorośli z „drogówki”,
- harcerze spotykali się z zuchami na ich zbiórkach i w przystępny sposób zapoznawali ich z zasadami ruchu drogowego; pomocą służyła książeczka pt. „Kolorowy kodeks drogowy” dla dzieci.

Drużyny Zuchowe:

- od najmłodszych lat uczyli się współzycia w grupie, szacunku do osób dorosłych, do kolegów z drużyny, odpowiedzialności za bezpieczeństwo, poszanowanie przyrody, bycia samodzielnym,

Najlepszym sposobem na pełną realizację tych poczynań było uczestniczenie w strażnicach zuchowych (baza w Drezdenku), nieobozowej akcji letniej, poza tym zuchy chętnie angażowały się w akcje dokarmiania zimą ptaków i zwierząt leśnych z najbliższej okolicy.



Praca z dziećmi i młodzieżą daje dużo radości i satysfakcji. Praca jako drużynowej szczególnie. Podkreślić należy, że była to praca społeczna, za którą nie otrzymywaliśmy pieniędzy.

Helena Więsko

O pracy w milicji i policji rozmowa z Panem Stanisławem Bauciem

Jakie są Pana najwcześniejsze wspomnienia związane z Reczem. Kiedy Pan przybył do Recza?

Urodziłem się w Reczu w 1957 roku. Od momentu urodzenia do 19-roku życia byłem bezpośrednio z tym miastem związany, bo tutaj dorastałem, żyłem i mieszkałem. W 1976 roku postanowiłem zmienić miejsce pracy, bo przez kilka lat pracowałem w Remorze, i wyprowadziłem się do Polic – tam mi zaproponowano lepsze warunki płacowe; od 1976 roku byłem nieobecny w Reczu. Do Recza wróciłem kilka lat temu. Wcześniej znając sytuację postanowiłem zakupić tu działkę, na której wybudowałem dom i się osiedliłem. Odrobinę sprawy zawodowe w te strony mnie przywiodły, bo po zamieszkiwaniu w kilku miejscach w Polsce, po różnych doświadczeniach życiowych i zawodowych akurat historia zatoczyła krąg ...

A takie wspomnienia, które są związane z Pana wiekiem młodzięcym – czy mógłby Pan o tym opowiedzieć?

Recz do czasu mojej wyprowadzki prezentował się jako miasteczko, typowe, klasyczne miasteczko, w którym mieszkańcy w zdecydowanej większości wykazywali cechy społeczeństwa małomiasteczkowego. Przejawiało się to m. in. tym, że ludzie mieli silne poczucie więzi z sąsiadami. Była to w zdecydowanej większości ludność napływowa. Po hekatombie wojennej ludzie na nowo chcieli się zorganizować i poczuć się jak u siebie. Wykazywali wielką dbałość i troskę o siebie, rodziny, o powierzone im miejsce zamieszkania (w tamtych czasach nie kupowało się posesji, tak jak obecnie, jedynie od państwa się otrzymywało dom czy mieszkanie, a wszystko w ramach reparacji po uszkodzeniach wojennych). Kilku autochtonów jedynie mieszkało, ale nie-liczne osoby. Na pewno uderzające było bardzo sympatyczne odnoszenie się ludzi wzajemnie do siebie. Dbałość o taką namiastkę estetyki i otoczenia miejsca zamieszkania, gdzie przy każdym domu można było zaobserwować bielone, odnawiane krawężniki, prowadzone rabatki kwiatowe – co prawda z dzisiejszej perspektywy nie były to jakieś wyszukane rośliny, ale widoczna była dbałość o to, gdzie ludzie mieszkali i na czym gospodarzyli.

Myśli Pan, że to wynikało z faktu, że oni chcieli pokazać, że się tutaj zadomawiają?

Jako jeden czynnik, tak. Po drugie cechowała tych ludzi taka chęć normalności ... Trudno mi to z perspektywy czasu dobrze ocenić, nie chcę być w żaden sposób górnolotny, natomiast być może duży wpływ miało to, że osadnicy wywodzili się z grupy osób już wcześniej posiadają-

cych – bądź to rolnicy, przedstawiciele rzemiosła – ale byli to ludzie, którzy mieli kontakt i doświadczenie z własnością i ją cenili. Dodatkowo byli to ludzie skromni, wzajemnie dla siebie życzliwi, pałający chęcią nawiązania i utrzymania więzi sąsiedzkich ... przesympatyczni ludzie. Po powrocie do Recza brakowało mi tego poczucia.

A kiedy Pan wrócił do Recza?

Od kilku lat tutaj funkcjonuję. Natomiast w 1981 roku wróciłem do Choszczna, już zawodowo. Mieszkałem w Choszcznie, w Reczu mam rodzinę.

Zauważył Pan tę różnicę mentalną po swoim powrocie?

Tak. Mam swoje własne zdanie co do tych przyczyn. Taka mentalna, lekka degradacja społeczeństwa zaczęła się w latach siedemdziesiątych, kiedy zdecydowano się komasować pegeery. Po prostu warunki życia zrobiły się zdecydowanie inne i wtedy mieszkańcy zaczęli przejmować pewne cechy ludzi osiedlających się w pegeerach. W tamtym okresie była wyraźna różnica związana z etosem pracy, własności, szacunku między mieszkańcami wsi i pegeerów. Zbyt rozbudowane były też sprawy socjalne. Kiedyś Recz był identyfikowany z Remorem, który w najlepszym okresie zatrudniał ponad 500 pracowników. Jak na niespełna 3000 mieszkańców, to była ogromna liczba. Wtedy Państwo dawało mleko, zapewniało opał, świadczenia socjalne, wczasy zakładowe. Wtedy ludzie czuli się w pełny sposób zaopiekowani, pomijając oczywiście charakter ustrojowy państwa. Ważną sprawą była też religijność. Ta nadopiekuńczość państwa zatarała taki swoisty instynkt, myślenie przyszłościowe. Ci ludzie też zostali bardzo brutalnie potraktowani w okresie transformacji. Jak się wyprowadzałem, to wtedy ludzie się często ze sobą spotykali, uśmiechali się do siebie ... tak bezinteresownie. Mówiąc do siebie: „Dzień dobry” z prawdziwą intencją życzenia dobrego dnia, a nie zdawkowego, przyjętego często na dzień dzisiejszy.

Zaczął Pan pracę w służbach mundurowych, w milicji, potem przekształconej w policję. Czy mógłby Pan opowiedzieć o funkcjonowaniu tych służb na terenie gminy Recz?

W 1977 roku rozpocząłem pracę w milicji. Co zdecydowało, że znalazłem się w tej firmie? Dla mnie jest to bowiem firma. Po pierwsze kontynuacja rodzinna – dziadek w okresie międzywojennym był policjantem i pracował do 1939 roku, a później w odrodzonej Polsce jeszcze do przełomu roku 1948 i 1949 pomagał przygotowywać i szkolić na bazie swoich doświadczeń przedwojennych. Natomiast mnie do milicji przywiódł przypadek. Po prostu w ramach szkoły i edukacji, bo w tamtym okresie kończyłem szkołę zawodową, zakładową przy Remorze. W ramach tej szkoły trzeba było uzupełniać kursy zawodowe. Szkoła mieściła się w Choszcznie, a te

kursy realizowane były poza szkołą w ramach uzupełnienia. Na jednym z tych kursów była osoba, która po jego zakończeniu podjęła pracę w milicji w Gorzowie w wydziale kadr. Dostałem wezwanie, ale tak naprawdę była to propozycja pracy, z której skorzystałem. Zaczynałem od odświeżenia wojska w milicji w tzw. Batalionach Centralnego Podporządkowania. Miałem to szczęście, że w okresie moich 2 lat służby w latach 1977 – 1979 nie byłem wykorzystywany politycznie i do jakichkolwiek przedsięwzięć nie stricte milicyjnych. W ramach tej służby można było ukończyć szkołę podoficerską.

W Gorzowie pracowałem w wydziale prewencji. Z Gorzowa trafiłem do Choszczna dokładnie 1 maja 1981 roku i do 1986 roku pracowałem na stanowiskach funkcjonariusza patroli, jako dzielnicowy, a kończyłem jako dowódca plutonu patrolowo-konwojowego. Potem była szkoła oficerska w Szczytnie w latach 1986-1989. Po krótkiej przygodzie w wydziale szkolenia trafiłem do sekcji operacyjno-dochodzeniowej w Choszcznie.

A do Recza kiedy Pan trafił?

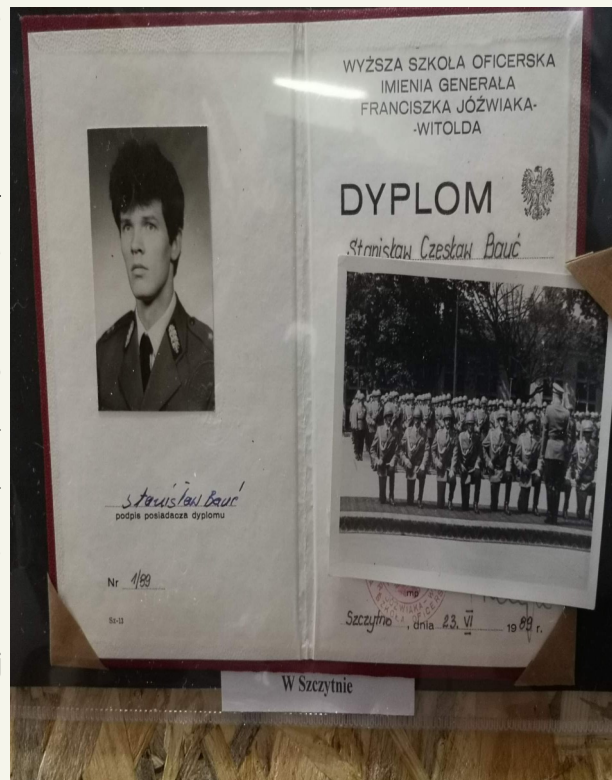
Akurat były to początki takiego „psucia” firmy, pojawiły się różne eksperymenty i pomysły. W roku 1991 jeden z tych pomysłów polegał na tym, że na miejsce ustępującego komendanta jednostki posterunku policji, każdy następny musi być oficerem i zostałem delegowany przez komendanta powiatowego, który musiał obsadzić wakat na stanowisku, i tak trafiłem do Recza. Pierwsze pół roku nie miałem wyjścia i musiałem się zdecydować, bo tak stanowiły przepisy służby, a potem jeszcze pół roku. Łącznie pracowałem tu przez rok.

Dojeżdżał Pan z Choszczna.

Tak.

A jak funkcjonował posterunek w Reczu?

Było 5 etatów: komendant plus czterech funkcjonariuszy. W policji w okresie transformacji tylko nazwa się zmieniała. Działania pozostały bez zmian. Po prostu wprowadzano pewne eksperymenty formacji, jako takiej, które dotknęły mniejsze posterunki, takie jak Recz, ale też placówki szczebla powiatowego. Z premedytacją używam słowa eksperymenty, nieudane ... W



ramach tych eksperymentów, co było wyjątkowo szkodliwe, odebrano zadania dzielnicowemu, który do tego czasu, oprócz stricte prewencyjnej pracy (patroli, zainteresowanie losem mieszkańców) w zakresie swoich działań miał też prowadzenie dochodzeń o niskim ciężarze gatunkowym – i to odebrano dzielnicowemu. Wprowadzono kategoriyczny zakaz prowadzenia postępowań przygotowawczych, zostały stricte prace prewencyjne.

Wtedy w Reczu był trudny okres. Z doświadczonej kadry został tylko mój późniejszy następca Pan Ryszard Smus, a pozostali funkcjonariusze legitymowali się stażem od kilku miesięcy do około 2 lat, czyli była to służba przygotowawcza. Trochę próbowałem to usprawniać, nalegałem na komendancie powiatowym, żeby udzielił mi odrobinę swobody w działaniu. Stosowałem praktykę, że prace i postępowania przygotowawcze prowadził Pan Smus, a celem edukacji i zdobywania doświadczenia każdego funkcjonariusza angażowałem w charakterze protokolanta wszystkich czynności procesowych. W mojej ocenie zdało to egzamin, ponieważ po moim powrocie do Choszczna, przez okres 2 – 3 lat prowadziłem nadzór nad pracami dochodzeniowymi w Reczu, a pracujący wykazywali dużą samodzielność i radzili sobie.

Jakie zdarzenia miały najczęściej miejsce?

Pospolite — kradzieże, włamania ... prym wiodły jednak czyny przeciwko rodzinie: przemoc, niewypełnianie obowiązku alimentacyjnego, drobne wykroczenia często pod wpływem alkoholu oraz zdarzenia drogowe. I jeszcze przez okres kilku lat rozboje dokonywane przez podróżyjących Rosjan. W tym przypadku w rozwiązaniu tego problemu – będąc nieskromnym – mogę sobie przypisać istotną zasługę.

Właśnie ... czy mógłby Pan wymienić jakieś sukcesy lub przełomowe wydarzenia, które dla Pana były istotne. Czy mógłby Pan o tym opowiedzieć?

To miało związek z Reczem. Był to okres – tak jak wspomniałem – gdzie panoszyły się rosyjskojęzyczne, zorganizowane grupy przestępcze, mające postać mafii. Były częste zdarzenia, gdzie zgłaszano nam fakt dokonania rozboju na drodze krajowej nr 10. Ofiarami padali też obywatele Związku Radzieckiego. Dużą zagadką było to, że wszystkie przypadki były spowodowane przez obywateli rosyjskojęzycznych. Były to groźne przypadki, bo ofiary zgłaszały, że zostały zatrzymane na drodze przez uzbrojone osoby (broń automatyczna, kałasznikowy itp.) i zostały zmuszane do zapłaty „podatku”, jak nazywali to sprawcy. Byli do tego stopnia bezczelni, że po dokonaniu aktu rozboju zostawiali kartkę z treścią „to komando wykonało już swoją robotę”. W toku postępowania udało nam się ustalić, że na terenie jeszcze ówczesnego NRD znajduje się siedziba mafii. Któregoś razu mieliśmy banalną kolizję drogową - obywatel armii radzieckiej



Zabezpieczenie pielgrzymki Papieża Jana Pawła II
Warszawa 1987 rok
Od prawej: Stanisław Bauć



Pomoc w wykopkach podczas służby

w stopniu majora wpadł w okolicy Wapnicy do rowu. Po nitce do kłębka i w związku ze ściganiem bandytów na choszczeńskim rynku ustaliłem rezydenturę i funkcjonowanie w okolicach Szczecina, Stargardu i Kabyłanki członków mafii. Przekazałem swoje ustalenia do komendy do Gorzowa. Skasowaliśmy tę działalność.

Czuje się Pan jako osoba, która pierwsza to wykryła?

Dałem podstawy do uporania się z tym zjawiskiem.

Jakieś nagrody, odznaczenia ...

... uścisk dłoni ... ale też satysfakcja ...

Dzięki temu awansował mój kolega, którego sobie bardzo cenię za kunszt i

profesjonalizm. Kolejna satysfakcja to fakt, że rok później rozpoczął się cykl szkolenia oficerskiego w Szczytnie. Jednym z kursantów był człowiek, który u nas zaczynał pracę, a potem został szefem CBS w Gorzowie.

Proszę powiedzieć, co z punktu widzenia szefa posterunku policji jest najważniejsze w pracy policjanta?

Dzisiaj mankamentem policji, generalnie w mojej ocenie, jest nadmierne gadulstwo. Brak umiejętności dochowywania dyskrecji, takiego abc zawodu. Ja, ponieważ zakończyłem pracę sporo lat temu, w 1996 roku, to jednak do dziś nie odważyłbym się, opowiadając o służbie, powiązać czynności z osobą, wobec której ich dokonywałem – czy to ofiara, poszkodowany czy sprawca. A dzisiaj spotyka się z nadmiernym gadulstwem. Dla mnie jest to nie do zaakceptowania. W latach 80. wyobrażenie ludzi było takie, że mogą się zwrócić do nas z każdą sprawą, nawet wykraczającą poza nasze kompetencje. W małych miejscowościach społeczeństwo było przekonane, że jak sąsiedzi nie pomogą, jak państwo nie pomoże, to na pewno dzielnicowy.

Wcześniej Pan wspominał, że osoba pełniąca funkcję dzielnicowego powinna znać relacje i interesować się mieszkańcami, troszczyć się o nich ...

Służba polega na tym, aby przestrzegać prawa, która w pracy prewencyjnej była kluczowa. Służbowo to się nazywało rozeznanie posesyjne. W ramach tego obowiązku dzielnicowy musiał przynajmniej jeden raz na 3 miesiące spotkać się z każdym dorosłym zamieszkałym na jego terenie, wypytać jak mu się żyje, czy ma problemy. Mieliśmy też do kontaktów z mieszkańcami specjalne pomieszczenie na terenie zakładu pracy czy ośrodka kultury, w którym dzielnicowy pełnił dyżur. Było to praktykowane i wprowadzone zarządzeniem zastępcy komendanta wojewódzkiego w Gorzowie. U nas wyjątkowo się to sprawdzało.

Czy takie umiejętności kontaktu ludźmi, empatii są ważne?

Tak. Zresztą umiejętności psychologiczne też; psychologia jest jednym z przedmiotów w szkole oficerskiej w Szczytnie. W praktyce uczyliśmy się tego rodzaju pracy, patrolując teren razem z dzielnicowym, co w moim odczuciu było bardzo pożyteczne. W okresie kiedy pracowałem, policjantem będącym w okresie służby przygotowawczej opiekował się starszy policjant. Mieliśmy również obligatoryjne szkolenia z nowinek związanych z przepisami prawa.

W Reczu, kiedy Pan tu trafił, byli Pana znajomi z poprzedniej pracy, koledzy ze szkoły, Pana znajomi. Nie było trudniej podjąć pracy tutaj w naszej miejscowości?

Tak. Zwłaszcza, że bywało, że moi szkolni koledzy, z podwórka, z ulicy czasami stawali po drugiej stronie barykady, że tak powiem. Było to pewne obciążenie. Musiałem przyjąć taką strategię, do której zmusił mnie zawód – musiałem bardzo szybko wydorosnąć. Rozpoczywałem służbę jako dwudziestolatek. Do Recza trafiłem z dużymi osobistymi oporami. Wówczas komendant powiatowy przedstawiał kandydaturę na komendanta posterunku, a samorząd ją opiniował. Nie było to sformalizowane, ale taka była praktyka. I rzeczywiście był z tym problem, ale po pół roku trend się zmienił i ci którzy oponowali, wręcz zabiegali, żebym ja to kontynuował.

A dla Pana był to trudny okres pracy w Reczu?

Nie. Wtedy miałem już kilkanaście lat służby, więcej doświadczenia. Nie wyparłem się koleżeństwa, ale jeśli ktoś taki popełnił czyn zabroniony, a zwracał się do mnie per kolego, to bezwzględnie tłumaczyłem, że obraża on prawo i jednocześnie swojego kolegę. Konsekwencję i ustalone zasady wobec takich osób stosowałem jako normę. Nie było to nic nadzwyczajnego, nawet zachęcałbym każdego do takiego traktowania służby.

A po pracy?

Decyzja należała do kolegi. Ja przedstawiałem granicę ...

Czy mundur stanowił tu jakiś symbol pewnej granicy w relacjach?

Niekoniecznie. Pierwsza sprawa – pracując w tym zawodzie trzeba się liczyć z tym, że jest się

ocenianym. Przez przełożonych i przez środowisko, w którym się pracuje. Trzeba żyć z tą świadomością. W ślad za tym idzie przeświadczenie, że to jednak jest służba. Niektórzy zwracają się do policji per „Panie Władzo”. Ja nie jestem władzą! Wspaniałe credo zawodu przedstawił mój pierwszy przełożony w roku 1977. Powiedział, że „policjant to jest taki ktoś, kto ma bronić ludzi przed bandziorami”. I tu się przejawia cała kwintesencja zawodu. Po drugie – trzeba sobie uświadomić, że do tego zawodu nie idzie się po to, aby zrobić karierę finansową. To jest mit. Jeżeli ktoś aspirujący do tego zawodu będzie miał takie podejście, to nie ma tam czego szukać.

Czyli słowo „służba” może Pan odnieść do swojej pracy?

Tak, to jest służba. Rygorystycznie przestrzegałem zasady, że idący w patrol idzie po to, aby wracający nawet o północy do domu, zadowolony i przyzwoity mieszkaniec czuł się bezpiecznie. Jest to misja!

Wspomnę o dwóch zdjęciach, które Pan udostępnił na wystawę. Na jednym jest Pan jako policjant zabezpieczający pielgrzymkę papieską, która dla jednych jest duchowym przeżyciem, a policjanci jadą pilnować porządku. A drugie zdjęcie jak pracujecie na wykopkach ...

Jako ciekawostkę mogę też powiedzieć, że w okresie tzw. zimy stulecia przez osiem godzin byliśmy na służbie, a kolejnych osiem byliśmy oddelegowani do odśnieżania miasta. Taka była potrzeba. A jeśli chodzi o wykopki, to był to jakiś folklor, zabawa, ale nie byliśmy oderwani od środowiska. W okresie czynu majowego też robiliśmy coś na rzecz miasta. Na zegarek nie patrzyliśmy, że tak powiem.

Jakie postaci związane z miastem mógłby Pan wymienić, które miały wpływ na środowisko, mieszkańców?

Na pierwszym miejscu bez wątplenia skromna, sympatyczna osoba Pana Adolfa Długosza. Na pewno jako skromny człowiek, a jakże istotny, ważny dla środowiska Pan Wacław Mucha. Pan Huszcza zaangażowany jako strażak. Bez wątplenia osobowością był dyrektor Komada. Mogę też wspomnieć nauczycieli: Marię Wojciechowską i osobę, która w znacznym stopniu ukształtowała moją osobowość – Panią Janinę Pawłowską. Nie wiem skąd jej się to wzięło, ale już w końcu szkoły podstawowej angażowała mnie do roli arbitra w nieporozumieniach klasowych. Zaszczepiła we mnie pewien system wartości, cechę społecznikowską.

Mam jeszcze krótkie pytanie dotyczące Pana dziadka, który był policjantem. Jakby mógł Pan opowiedzieć krótko jego historię ... Był on posterunkowym w Stanisławowie ...

Tak.

Jakim cudem Państwo tutaj trafili?

Rodzina ze strony mamy pochodzi z wielkopolski, a rodzina ojca spod Częstochowy. W okresie przed odzyskaniem niepodległości duża część rodziny pomieszkiwała i pracowała w Niemczech. Dziadek pracował w Zagłębiu Saary. Był też członkiem Polskiego Związku „Sokoły” i z tej patriotycznej organizacji został zwerbowany do służby. Przyjechał z Essen i dostał propozycję jako utrwalacz polskości na Ukrainie. Służył na granicy polsko-rumuńskiej przez 2 lata, a następnie został skierowany do województwa stanisławowskiego do Morszyna, powiat stryjski. Tam służył od roku 1920 do 1939.

Mogę opowiedzieć co najmniej dwie ciekawe historie zawodowo-rodzinne. Będąc w Morszynie, przyjaźnił się z rodziną ukraińskiego autochtona, leśniczego. W 1937 roku dziadek w ramach towarzyskiej wizyty u tego swojego przyjaciela był świadkiem napadu na mieszkanie, podczas którego leśniczy został zastrzelony. Po roku czasu dziadek dostał zadanie eskortowania jednego z synów zastrzelonego do szpitala psychiatrycznego. Dowiedział się wtedy, że ten syn był członkiem organizacji ukraińskich nacjonalistów i zastrzelił własnego ojca. Mówił: „Miałem zastrzelić Cieślaka, a zastrzeliłem ojca”.

Mama z kolei przyjaźniła się z córką zastrzelonego. Na początku 1940 roku mama trafiła w swoje rodzinne strony w okolice Rawicza i otrzymała przymus pracy na gospodarstwie – uciekła. Potem została zatrzymana przez Gestapo – uciekła drugi raz, a za trzecim razem otrzymała wyrok – pół roku więzienia. Trafiła do obozu pracy, gdzie spotkała swoją ukraińską przyjaciółkę. Przeżyła obóz do 1945 roku. Taka historia się mojej mamie przytrafiła.

Natomiast brat dziadka ma związki z tymi stronami. Zajmował się branżą budowlaną i był twórcą pierwszej prywatnej inicjatywy tu na ziemiach odzyskanych – pierwszej brygady budowlanej, która odbudowywała ze zniszczeń. Osiedlił się w Choszczynie. Mama, jak wróciła z niewoli, trafiła do tego brata. I tutaj spotkali się z ojcem. Ojciec dwa lata przed wybuchem wojny został powołany do wojska. Służył jako żołnierz piechoty na ziemi wileńskiej. Tam go zastała wojna. Trafił do niewoli, stamtąd do Ostaszkowa, a w ramach wymiany trafił na roboty w okolice Kolonii. Wracając po wojnie w rodzinne strony zatrzymał się w tych okolicach i zatrudnił się jako stróż ... i tak się poznał z mamą. Dziadka brat wrócił do Poznania.

Bardzo dziękujemy za ciekawą rozmowę.

Rozmawiali: Monika Olender-Zań i Maciej Gryczewski

